

Sobota, 30 czerwca, godz. 15 i 19, sala COS w Drzonkowie
Polska Zachodnia — RFN w kick-boxingu

Dochód na przedszkole dla dzieci specjalnej troski w Zielonej Górze
— Cegielki do nabycia w Orbisie, PTTK i YUMIE (KMPiK)

ind. 359491 Zielona Góra Tygodnik
GAZETA NOWA

KURIER ZIELONOGÓRSKI

ALPACON
WYDAWCA

DO WYGRANIA 100 000 ZŁ!
COTYGODNIOWY
KONKURS
GAZETY NOWEJ

speedway

ROK I NR 25/90 28 CZERWCA 1990 R.

1500 ZŁ

W numerze m. in.

„Nawet Archanioł się zbiesi”
— wywiad z M. F. Rakowskim str. 8
Lubuskie Lato Filmowe' 90 — str 12

CZEPI
ptak bez skrzydeł

— On się dzisiaj zabije — powiedziała matka Piotra Czepizaka do męża, kiedy ten przyznał się, że pożyczył właśnie synowi samochód. Tłuma czył: — Miał pojechać po jakiś zeszyt gdzieś do Trzebiechowa, prosił..

Sama nie wie, dlaczego tak wtedy powiedziała. „To jakby powiedziało się samo”, niezależnie od niej. W nie dobrą godzinę.

W chwilę potem przeglądała zeszyty Aśki, młodszej siostry Piotra. Otworzyła matematykę i... zobaczyła siebie samą nad otwartym grobem. Mówi dziś, że wiedziała już co się stało.

Około czwartej po południu zadzwonił posterunkowy i zadał kilka rutynowych pytań. — Czy chcecie mi powiedzieć, że mój syn nie żyje? — przerwała mu. Tak by-
ło.

Wkrótce potem przysnił się jej. Zastukał do drzwi. Otworzyła. Był bez butów. — Jak zwykle miałaś rację — powiedział. I zaproponował jej w tym śnie wyprawę na drugi świat. Na chwilę.

— Piotr ma niesamowite pomysły — mówi matka wciąż jeszcze w czasie teraźniejszym. Pamięta, że kiedyś napisał albo przepisał taką fraszkę: „Wszystko mnie fascynuje, ciekawość mnie gniecie. Chciałbym nawet wiedzieć, co jest na tamtym świecie”

Matka zna na pamięć całą twórczość syna. Nie mieli przed sobą tajemnic. Rozumieli się bez słów. Była między nimi niezwykła, wspólna więź.

Koleżdy z ególniaka w Sulechowie mówią, że Czepli (tak go nazywali) to był wariat na życie. Energia dosłownie go rozpierała. Tak samo jak jakas... radość życia. Try



Fot. Cz. Luniewicz

(Ciąg dalszy na str. 3)

PRAWA MARSZ

Drużyna, w której mógłbym grać

Fakt, grali przez ostatnie lata w innych koszulkach. Raczej czerwonych. Lub, powiedzmy, różowych. Niektórzy zaś — po prostu cielistych. Tyle, że nie mieli w owym czasie żadnego wyboru. Była tylko jedna liga. Jedna drużyna. Jeden trener, wprawdzie bez uprawnień zawodowych, lecz cieszący się pełnym zaufaniem zarządu klubu. I jednolitofrontowa grupa konsultantów Polskiego Związku Piłki Nożnej, pardon, Robotniczej.

Nie wystawiano ich nigdy w ataku. Ba, na wet nie w pomocy. Te pozycje zastrzeżone były dla wytrawnych, sprawdzonych zawodników. Takich, którzy mieli odpowiedni ciąg na bramkę i dobrze wiedzieli, co i dlaczego jest grane, potrafili kopnąć po kostkach, podstawić nogi, wykręcać ręce i łapać za ko-

szulkę, stosować umiejętnie faule taktyczne z pełną gwarancją, że żaden sędzia żółtej ni czerwonej kartki im nie pokaże. Tak, ci sprawdzeni to byli prawdziwi gwiazdorzycy. Kiwa li jak Pele, do zasad fair play mieli stosunek Maradony. Kłopoty — tylko z główkowaniem. Nie przejmowali się zupełnie gwizdami na trybunach. W końcu, wynik był z góry ustalony, a w tej grze nie chodziło przecież o aplauz publiczności. Największą nagrodę stanowił bratersko-towarzyski uścisk dłoni selekcjonerów. Liczyli się też Złote. Powiedzmy, że Buty.

Zawodnikom spoza podstawowej jedenastki, realizującej z potrzeby ducha założenia taktyczne trenera i konsultantów, nie wolno było hasać po całym boisku. Zresztą, większość

wcale się do tego nie paliła. Wystarczył im niewielki skrawek murawy, na którym czuli się rzeczywiście potrzebni. Trawa na tym skrawku bywała z reguły zielona. Nie trzeba jej było podmalowywać, zmieniać odcienie w zależności od panujących trendów i stylów gry.

Nie domagali się rzutów karnych. Nie wychodzili na pozycje spalone. Nawet w trudnych warunkach atmosferycznych potrafili zachować czyste getry i spodenki.

Fakt, grali przez ostatnie lata w innych koszulkach. Ale w gruncie rzeczy, nie było im w nich do twarzy. Może dlatego, że mieli twarz...

EDWARD J. MINCER

ROBOTY BUDOWLANE

Kto budował i kto nie płaci?

Zielonogórski amfiteatr jest piękny. Pokazują go co roku w telewizji, znają go nawet... za granicą. Tak zwane społeczeństwo Zielonej Góry nawet polubiło wiosenne śpiewanie w za przyjaźnionym języku. Z ubolewaniem jednak donosimy, że wieloletnie propagowanie azjatycko-uzbekistańsko-sowieckiej podkulturki muzycznej, odniosło swój skutek. Oto na jednym z wernisaży plastycznych odbywającym się w Zielonej Górze w towarzystwie Anglików i Niemców, polscy artyści, ich znajomi i rodziny, po kilku wernisażowych „głębszych” urozmaicili spotkanie śpiewem i... solą (w oku). Repertuar? Oczywiście „słowiański”, czyli sowiecki. Anglicy? Owszem, też śpiewali, ale sta roirlandzkie ballady i folkowe kawałki angielskie. Niemcy tylko się uśmiechali, wszak rozpoznają z łatwością języki (rosyjski, polski itd). Wreszcie, pewien zielonogórski artysta, spec od „akwarelowych żywiołów”, nie wytrzymał i na znak protestu opuścił towarzystwo (przyjaźni polsko-radzieckiej). Udał się do domu i zaimponował od progu moniuszkowską „Pieśń wieczorną”. Zawtórowała mu żona „Znasz li ten kraj”.

W polskim życiu politycznym nie wykształcił się jeszcze język. Lewica jest kojarzona wiadomo jak, prawica — brzmi nieco złowieszco, tylko centrum ma obojętny smak i można nie wpisać w miarę dużo treści. Okazuje się, że najwięcej polityków sytuuje się w tym mitycznym środku, który jakoby już z góry gwarantował mądrość. Może tak jest faktycznie, gdyż centrum godzi w sobie sprzeczności, i do tego z lewej, i prawej strony jest w stanie zgarniać korzyści.

Polskie życie polityczne — jak zauważali korespondenci zagraniczni — cechował światowy fenomen: dużo autorytetów, lecz żadnej liczącej się partii. Ruch „Solidarności” grupował z prawej i lewej wszelkiej maści opcje, choć trzeba przyznać wyrzekł się skrajności. Gra toczyła się wewnątrz tego ruchu, i od dość dawna przewagę w niej zdobyli ci, których można objąć nie tylko umowną nazwą — formacją lewicową. Lewica wiedząc jakim odium obłożony jest ten skądinąd szlachetny termin, unikała owej etykiety jak diabeł święconej wody. Zresztą ta sytuacja była wygodna, choć dla życia politycznego — groźna. Wyemancypowani politycy lewicy dążyli do przekształcenia ruchu „Solidarności”, zastępczo nazywanego obywatelskim, w partię „Solidarność”.

Dość dawno dojrzał to Wałęsa i rzucił hasło politykom, by Ci organizowali się w dwóch ugrupowaniach politycznych — „trochę na lewo, trochę na prawo”. Z pragmatycznego punktu widzenia taki dwupodział jest wygodny, a

Cóż, śpiewać każdy może! W Poznaniu odbył się nawet Festiwal Piosenki Angielskiej. Z angielskim związało się wiele narodów. Z rosyjskim też wiele narodów... się rozwiązuje. A w Zielonej Górze? W Zielonej Górze śpiewamy w językach narodów... radzieckich. Skoro ludzie tego chcą — niech będzie. Ludzie jak to ludzie, lubią się pokłajać. Kto kogo wykiwa, pokaże historia.

Powstaje jednak pytanie: kto budował amfiteatr i kto zapłaci za „salę pod chmurką” wynajętą na te blisko i daleko wschodnie pieśnią. Także żyjemy w rzeczywistości rynkowej i za wszystko trzeba płacić! Organizatorzy tegorocznego Festiwalu potraktowali amfiteatr jako swoją własność i „weszli” doń... za darmo. Rozumiemy, że amfiteatr zbudowano wyłącznie z powodu odbywającego się w mieście „winnic” Festiwalu Piosenki Radzieckiej, ale żeby tak docześnie?

Ministerialna (czytaj I. Cywińskiej) „racja stanu” znowu skazała Zieloną Górę na czer-

sympatie społeczne wyraźnie sytuują się po jednej ze stron.

I tak na scenie politycznej pojawiło się „Porozumienie Centrum”, które wywołało popłoch, a w następstwie tego sporo dezinformacji. Ja-

Felieton gościnny

Spór o Wałęsę

ko zagrożenie dla wątpliwej stabilizacji — odczytano przyspieszenie. Rzecznik rządu, Małgorzata Niezabitowska, w stylu swego poprzednika „przyspieszaczom” nadała pejoratywne znaczenie z pogardliwym określeniem „tak zwani”. Program Porozumienia Centrum jest jasny i nie staje w poprzek zmianom zachodzącym w kraju. Na fotelu prezydenta widzi Lecha Wałęsę, któremu to wcześniej, sporo uwagi poświęcili politycy z lewicy solidarnościowej, konfrontując go w sondażach z Mazowieckim, Geremkiem, a nawet Jaruzelskim. Ordynowanie prezydenturą ma jednak swoje słabe strony, gdyż zakłada precedens. Nawet gdyby Jaruzelski złożył dymisję, będzie to odczytywane jako wymuszenie. I w dalszej perspektywie, jak każdy precedens, może przeistoczyć się po prostu w regulę.

wone magdalenienie się z przyjaciółmi — spekami od zamrażania wolności.

A na cholerę nam ten FESTIWAL?! Skoro Ministerstwo nie ma pieniędzy na nauczanie polskich dzieci gry na skrzypcach? Amfiteatr budowaliśmy my, tzn. Panowie Czesiowie, ongiś licealiści noszący kamienie na ten „czerwony” kopiec. Dziś przyjaciele z TPPR nie płacą za wynajem, a była władza niemiecka nie wyraziła zgody na polski „metal” w tymże, budowanym między innymi przez młodzież, amfiteatrze.

Do bani z taką darmową przyjaźnią! No ale w Witebsku będą ruscy śpiewać... po polsku. Taka to racja stanu. Jakby to zwał, wolelibyśmy żeby pani minister zamiast racji (stanu) miała restaurację. Piłibyśmy tam sowieckiego szampana, śpiewając „Kalinke”. A Stanisław Moniuszko przewracałby się w grobie na wieść o śpiewaniu w Witebsku pieśni „Znasz li ten kraj”... po rosyjsku.

Czas na pokazywanie... języka.

PAN CZESIU

W odpowiedzi na porozumienie Centrum ze brał się w Krakowie Sojusz Obywatelski. Do opinii publicznej dotarł z tego zebrania niejasny komunikat. Sojusz dostrzega w Porozumieniu Centrum zagrożenie dla rządu Mazowieckiego, a zachowanie dotychczasowych pozycji widzi w Komitetach Obywatelskich, które miałyby stać się zapleczem politycznym dla rządu.

Co z tego wszystkiego wynika? To że język polityczny jako narzędzie walki o wpływy społeczne powoli zaczyna się konkretyzować. Po rozumieniu Centrum ma wyraźne opcje centroprawicowe, i nie kryje tego. Trudniej opisać Sojusz Obywatelski, który mimo wszystko nie wydaje się być trwały, grupuje on na razie umiarkowaną chadecję i laicką socjaldemokrację (socjaldemokrację nie należy kojarzyć z tworem postpezeteperskim). Czy ten kulawy sojusz ma szansę na dłuższą metę, trudno powiedzieć.

Centralną postacią w dalszy ciągu pozostaje Lech Wałęsa, i to o niego toczy się spór. Na niedzielnym (24.06) zebraniu Komitetu Obywatelskiego przy Przewodniczącym NSZZ Solidarność wyartykułowano rozbieżności między centroprawicą a centrolewicą. Słychać było owo pęknięcie, które przebiega wzdłuż i w poprzek, dlatego tak fałszywie brzmiało nawoływanie do jedności.

Na razie Lech Wałęsa namaścił swoim poparciem Porozumienie Centrum.

WALDEMAR MYSTKOWSKI

CZEPI

ptak bez skrzydeł

ANNA BUŁAT-RACZYŃSKA

(Ciąg dalszy ze str. 1)

skąd dowcipem, robił kawały i interesował się tysiącem różnych spraw na raz. Organizował imprezy, wydawał z kolegami gazetki, przygotowywał audycje radia „Happy Czepli”. Należał do całej szkoły. Siał ferment, blyszczał. Był popularny. Wszyscy go znali i lubili. To niezwykle ale prawdziwe — nie miał wrogów i nie miał... kompleksów. Choć mógł je mieć. Był „wielkim chłopem” przy kości. Jak ktoś wołał — gruby! — zaraz reagował. „Przecież jestem gruby, no nie?”

Matka pokazuje zdjęcia Piotra. Albo przy żarciu, albo przy mikrofonie — mówi czule. „Lubił zjeść, gotował też jak artysta. Całe serce do garnka wkładał. Od jego śmierci minęły już ponad dwa miesiące, a Aśka nic w domu nie smakuje, bo Piotr gotował lepiej. Uniał zrobić coś z niczego”.

Aśka tęskni. Z nią nie można jeszcze rozmawiać o tym, co się stało. Aśka uparcie ćwiczy na pianinie. Przygotowuje się do egzaminu w ognisku. Bywało, że kiedy coś przeszkodziła i groziło jej lanie, Piotr podkładał się za nią i mówił „mnie lejcie”. Tego się nie zapomina.

Napisał o nich taką fraszkę: „Jesteśmy muzykantami, pamięć o nas nie zaginie. Ja gram na nerwach, Aśka na pianinie”.

Tych fraszek i różnych wierszy jest w papierach Piotra cała masa. Najwięcej twórczości kryją szkolne zeszyty. Jest tam wszystko czego dusza zapagnie Matematyka, rosyjski, fraszka, wiersz, rysunek, trochę fizyki — wszystko w jednym zeszycie. Zygmunt Moder, wychowawca Piotra i fizyk, mówi, że chociaż z fizyki Piotr był „zerowy”, nigdy nie postawiłby mu dwójkę. Zresztą nie tylko on. Piotr dawał się lubić jak nikt. I nie był przecież głupi. Wrażliwością przewyższał rówieśników, ale brakowało mu doświadczenia. To go zgubiło.

Pokój Piotra pozostał po jego śmierci bez zmian. Kiedy chcemy go obejrzeć, wstawiamy z kanapy, ale nagle... Przeciąg zamyka drzwi, a klamka zostaje po tamtej stronie. Drzwi oklejone są banknotami dolara odbitymi na ksero. W miejscu Washingtona — podobizna Piotra.

— To jeszcze jeden jego kawał — mówią matka. — Bo on przecież ciągle gdzieś tu jest... Piotr, nie wyglupiaj się, otwórz.

Drzwi zostają otwarte nożyczkami. Pokój jest maciupęcki. Z lewej strony półkotapczan, z prawej prowizoryczne biurko, półki. Zadnych „śpiewających, rozebranych panienek” ani zespołów muzycznych. Są ptaki, owady, zwierzęta na tle czystej przyrody. Zwierzęta fascynowały go. Nigdy nie przechodził obojętnie obok bezdomnego psa, „Perełkę”, śliczną białą suczkę też przyniósł kiedyś do domu i została do dziś.

Jest walizka pełna filmów, gazetki szkolne, papiery, aparaty fotograficzne. Sprzęt do robienia zdjęć gromadził od dawna i systematycznie. Jak mało kto w tym wieku umiał zdobywać i zarabiać pieniądze. To poszedł do pracy na budowie, to jeszcze gdzieś. Składał pieniądze i stąd te poważne zakupy. Matkę szokowała obecność w domu niektórych cennych przedmiotów, a wtedy Piotr, żeby nie tłumaczyć za długo, mówił, że są pożyczone. O tym, że są jego własnością dowiedziała się dopiero teraz. Nikt się po nie nie zgłasza.

Fotografował niezwykle rzeczy. Na przykład sizerszenie. Twierdził, że wyglądają jak... Kosmos. Jedno z tych zdjęć, powiększone, wisiało w pokoju. Jest niesamowite. Przedstawia

jakby rozpryskującą się gwiazdę, jakiś gwiazdny pył... A to są przecież sizerszenie!

Którejś nocy, około drugiej, matka weszła do pokoju syna i zobaczyła zadziwiający obrazek. Piotr klęczał przed jakimś ekranem i próbował coś sfotografować. Nigdy nie dowiedziała się, co za zdjęcie chciał wtedy zrobić.

Czas miał na wszystko prócz lekcji. Był jakby dodatkiem do życia i to mało znaczą-

cym. Pochlaniały go zupełnie inne sprawy. Na przykład te gazetki szkolne, które wydawali z kolegami. Powielali je na ksero za pieniądze sponsorów, których Czepli zawsze skądś wytrzasnął. Na stronie tytułowej był dolar z wirunkiem Czepliego, a pod spodem i dalej, różne cuda. Plotki i ciekawostki o tym co słychać w szkole, dowcipy, rysunki i kawały. Przedrukowywali też z „Literatury na Świecie” informacje o różnych sektach religijnych („Bóg, szatan i człowiek”). Wszystkich numerów tego popularnego w liceum pisma było z osiem albo dziewięć — w tym trzy wydane po śmierci Piotra Czeplizaka.

Były nie tylko gazetki. Także Radio „Happy Czepli” i audycja dla nauczycieli, czyli „dla jedynych, którzy chodzą do szkoły dobrowolnie”. Były rajdy, wycieczki... A kiedy zbliżał się koniec semestru i w oczy nieuchronnie zaczęło zaglądać widmo kilku niedostatecznych, Piotr zaczynał „biwak”. Mawiał: „Trochę pobawuję i zlikwiduję wszystkie dwójki”. Prawie wtedy nie spał. Tylko drzemał w śpiwozrze na podłodze. Ostro nadrabiał zaległości w

(Ciąg dalszy na str. 4)



Fot. Kru-Kre

(ciąg dalszy ze str. 3)

nauce. Był bardzo zdolny, więc szło mu nieźle.

Prośby matki przyjmował żartem: — Gdybym postępował tak, jak mówi Moder albo ty, zostałbym człowiekiem roku...

Szczególnie zaprzyjaźniony był Czepli z polonistką, panią Jęgowską. — Wręcz rozbrajał poczuciem humoru, poza tym rozumieł się bez słów — mówi nauczycielka. I wspomina, jak to kiedyś przytaszczył do klasy sięgającą sufitu brzozę z spóźnienia, bo spóźnił się pisać u nas wypracowania na zadany temat lub przyniesli kwiaty doniczkowe".

— Piotr nieco różnił się od innych dzieci — mówi matka. — Nie chciał kopać piłki i bawić się z chłopakami na podwórku. „Co, ja?! Będę z patyka z za winkła strzelał!”

Po maturze chciał zdawać na ekonomię do Poznania. Interesowało go zarządzanie przedsiębiorstwem. Rodzice otworzyli nieduży zakład krawiecki, który Piotr nieomal prowadził. Miał do tego żyłkę. Poza tym „chciał zbawiać świat”.

Dziewczyny nie miał. Mówił, że będzie miał od razu żonę.

Dorota, brązowooka trzecioklasistka, z którą jechał do Trzebiechowa tamtego pamiętnego popołudnia, nie sądzi, aby Piotr miał dla niej więcej sympatii niż dla innych dziewcząt. „On lubił nas wszystkie. Był uczynny, miły. Nie chciałabym teraz niczego naciągać — mówi. Piotr napisał kiedyś co prawda wiersz „Dla D”, ale przecież mogło chodzić o kogoś zupełnie innego. Zнали się z rajdów, wycieczek. Tego dnia spotkali się pod szkołą — ona obladowana książkami i materiałami na wystawę o surrealizmie, on — na luzie, przed próbną maturą.

Czepli pożyczył od ojca samochód, żeby ją odwieźć do domu, do Trzebiechowa, bo musiałaby czekać jeszcze godzinę na autobus.

Pojechali dużym, czerwonym Fiatem, które go niedawno rodzice Piotra kupili na giełdzie w Poznaniu.

Rozmawiali po drodze o wszystkich i o niczym. Normalnie. Czepli jechał bardzo szybko. Jak zwykle. Był znany wśród kolegów ze swojej brawurowej jazdy. Mówiono o nim, że jeździ po wariacku, ale bardzo dobrze. I że nie topi się ten, kto umie pływać. Czepli już wcześniej urządził z kolegami zawody typu: „W 12 minut do Swiebodzina”. Na prośby matki o ostrożną jazdę, żartował: „Pozbierasz mnie w razie czego w reklamówkę”.

W Trzebiechowie powiedział Dorocie cześć i pojechał z powrotem. Znowu szybko, oczywiście. Droga w stronę Radowic jest piękna, wysadzana drzewami. Wzdłuż ciągną się pola. Musiało być wspaniale, aż nagle wyskoczył ten nieszcześnie zakręt.

Musiał wejść w niego tak, jak jechał, nie zwalniając. A może myślał, że mu w razie czego wyrosną skrzydła? Albo w całym tym pe-dzie, w tej szaleńczej jeździe zapomniał po prostu, że ich nie ma? Piotr Merda, przyjaciel Czepliego opowiada, że Czepli mówił o swojej koleżance Sylwii: „Ona jest jak ptak bez skrzydeł. Skacze ze skały i myśli, że poleci” — żartował. Piotrek Merda mówi dziś, że to nieprawda. Bo to Czepli był takim ptakiem bez skrzydeł.

Zahaczył najpierw o jedno drzewo, potem o drugie i zatrzymał się na trzecim. Szczątki samochodu zbierano potem na polu w promieniu kilkudziesięciu metrów. Sam Czepli wyglądał, jakby spał. Nie miał żadnych zewnętrznych obrażeń. Po prostu zebro przecięło mu aortę.

Mało kto uwierzył od razu, że Piotr nie żyje. Niektórzy mówili, że to jego kolejny kawal i lada dzień pojawi się gdzieś niespodziewanie. Ze rozstali się po prostu, jak wszyscy maturzyści — każdy poszedł w swoją stronę.

Małgorzata z klasy Czepliego jadąc samochodem nie przekracza ostatnio sześćdziesiątki. Dorota woli jechać autobusem. „Czy to jest jakaś przestroga? — zastanawiają się. — Chyba nie... Raczej nie. Po prostu wszystko ma swój czas. Zresztą...

ANNA BULAT-RACZYŃSKA

„Ja tak bardzo chcę żyć”

GRAŻYNA WALKOWIAK

1983 roku do Cormbergu w Niemieckiej Republice Federalnej, Karl Heinz Benke — pedagog z wykształcenia, przywiózł małą dziewczynkę. Polskie dziecko z Rzepina — ANETĘ SIENIAWSKĄ. Anetka urodziła się z wadą serca. Istniała nadzieja, że niemieccy lekarze uratują jej życie. Dziecko było jednak już bardzo słabe. W trakcie badania — zmarło. Karla Bankego fakt ten bardzo poruszył. Wraz z grupą przyjaciół postanowił utworzyć Związek Hospicyjny „Aneta Sieniawska”. Cel był jeden — niesienie pomocy polskim dzieciom z chorym sercem.

O istnieniu Fundacji „Aneta Sieniawska” dowiedziałam się od profesora Zbigniewa Lorkiewicza, dyrektora Ośrodka Kardiopulmonologicznego w Poznaniu, gdy szukałam pomocy dla 15-letniej Małgorzaty Kurzawy z Wichowa. Małgosia bowiem ma wszystkie możliwe wady serca.

Dziewczynka leczona przez kilka lat w Akademii Medycznej w Poznaniu, wg diagnozy kardiologa Ireny Paluszakowej nie ma szans na wyleczenie. Jej życie „wisi na włosku” — powiedziała pani doktor.

Cormberg 25.V.1990 r.

SZANOWNA PANI REDAKTOR!

Otrzymałam Pani list, za pośrednictwem dwóch młodych asystentów prof. Lorkiewicza. Mogę obiecać, że w miarę naszych możliwości, uczynimy wszystko, aby pomóc Małgorzacie. Przesłane nam dowody leczenia, wskazują na konieczność szybkiego działania. Przesłaliśmy je do Kliniki Uniwersyteckiej w Gizen. Tamtejsi lekarze mają na swym koncie wiele udanych operacji serca u dzieci (...). Gdy tylko podjęte będą decyzje w sprawie leczenia dziecka, natychmiast Panią zawiadomimy.

przewodniczący fundacji — Karl Benke

Małgosia Kurzawa jest dziewiątym dzieckiem z Polski, korzystającym z pomocy Fundacji. U pięciorga przeprowadzono, na koszt organizacji, operacje. Dzieci żyją. Pozostałe, po konsultacjach odesłano do Polski. Choroba u nich poczyniła już takie spustoszenia w organizmie, że lekarze pamiętając o Anecie, nie podejmowali ryzykownych zabiegów. Tym czasem Fundacja rozrastała się. Dziś liczy już 120 członków. Są to ludzie różnych zawodów i w różnym wieku. Od kilku lat jej przedstawiciele przyjeżdżają do Polski przywożąc leki, strzykawki jednorazowego użytku, rękawice, aparaty do narkozy. Dzięki Fundacji dwudziestu młodych lekarzy specjalizowało się z kardiologii w Centrum Sercowym w Rottenburgii. Karl Benke jest bardzo związany z naszym regionem, szczególnie z Paradyżem. Choć urodzony w powiecie Cottbus, przez 4 lata, do 1939 r. pobierał nauki w dzisiejszym budynku Seminarium Duchownego. Opiekuje się Ośrodkiem Caritasu dla dzieci upośledzonych w Wielkiej Wsi. Mówi, że z Polska wiązać go jeszcze Mochy. Tam mieszka Jan Tomalik — leśnik, przyjaciel, którego poznał w 1976 roku. Cieszy się, że mogą się znowu zobaczyć. Sprawia to Małgosia.

Cormberg 29.05.90 r.

KLINIKA UNIWERSYTECKA W GIZEN
PROF. HAINRICH NETZ

SZANOWNNY PANIE PROFESORZE!

Chciałabym serdecznie podziękować za przeanalizowanie istniejących badań kardiologicznych Małgorzaty Kurzawy. Gdyby się okazało, że istniejący materiał jest niewystarczający, proponuję wszystkie badania przeprowadzić w Gizen, gdyż w tym zakresie, w Polsce, pod różnymi względami nie mamy dobrych doświadczeń. Nasza Fundacja gotowa jest prze-

jąć na siebie wszelkie koszty. Pieniądze w Polsce na rzecz tego dziecka zbiera też polska dziennikarka i jej przyjaciele. A'e w przypadku tej dziewczynki sprawy finansowe uważamy za problem drugorzędny (...)

Karl Benke

W tym samym czasie, w lokalnej gazecie „Sonntag Zeit” ukazuje się artykuł o Małgosie, z jej zdjęciem, opisem jej choroby, sytuacji rodzinnej (jest sierotą). Autor artykułu, w imieniu Fundacji, prosi o pomoc finansową. Gdyby doszło do operacji, jej koszt wyniesie około 40 tysięcy marek — stwierdza dziennikarz. A w Zielonej Górze na konto Małgosii płyną pieniądze. Wpłacają organizacje społeczne, zakłady pracy indywidualni dawcy. Na ten cel, dzięki włączeniu się do „akcji” „Gazety Nowej”, organizowane są różnego typu imprezy, kulturalne i sportowe. Stan konta z dnia na dzień się powiększa. W ciągu dwóch miesięcy uzbieraliśmy 52 miliony złotych, 90 dolarów, 25 marek zachodnich. Pieniądze (po wymianie ponad 8 tysięcy marek), Wiesława Krzysków, niestrudzony

(Ciąg dalszy na str. 16)

Hilfe für herzkrankes Mädchen

Hilferuf aus Polen

Von Manfred Schaake

Rita und Karl-Hermann Schwabe aus Gudensberg (Schwalm-Eder-Kreis) hatten schnell vor zwei Jahren holten sie nach einem Turkeiurlaub einen an Kinderlabmung erkrankten Jungen - Sohn des Gärtners im Urlaubs-hotel - zur Behandlung in die Bundesrepublik. Murat, heute zehn, hatte nach der Prognose der türkischen Ärzte nur noch im Rollstuhl leben können. Doch dank deutscher Ärzte und vor allem dank der Schwabes lernte Murat mit eisernem Willen wieder laufen.

„Wir würden das immer wieder tun“ sagten die Schwabes damals. Diesmal wollen die Krankengymnastin und der Architekt ein Menschenleben in Polen retten. Małgorzata Kurzawa, geboren am 17. Januar 1974 Vollwaise, ist schwer herzkrank. Die Gudensberger Eltern von vier Kindern erklärten sich spontan bereit, 30.000 bis 40.000 DM für eine Operation zu spenden.

Der Hilferuf einer polnischen Journalistin erreichte kürzlich den Förderverein „Aneta Sieniawska“ in Cormberg (Kreis Hersfeld-Rotenburg). „Małgorzata muß dringend operiert werden. Wenn es nicht passiert, stirbt sie“.

Inzwischen hat Fördervereinsvorsitzender Karl-Heinz Benke erreicht, daß das Kind in Kürze in der Westfälischen Wilhelms-Universität in Münster behandelt werden kann.

Wie kam der Architekt zum Spenden-Angebot? Er meldete sich in der Sonntags-Zeit-Redaktion, nachdem er am 18. März 1990 den Bericht über das Schicksal des zwölfjährigen Szymon Chodun aus Polen gelesen

hatte. Der Kleine ist so schwer herzkrank, daß er seit einem halben Jahr nicht mehr wachsen konnte. Leser der Sonntagszeit hatten für Szymon 32.000 DM gespendet. Doch der größte Teil davon war nötig für die Operation der achtjährigen Aneta Kosecka aus



Małgorzata aus Polen

Polen (wir berichteten), der es inzwischen gutgeht.

„Mich hat schockiert“ sagt Schwabe, „daß man in unserer Gesellschaft für solche Hilfsaktionen betteln muß, wo doch so viel Geld da ist!“ Im Gespräch mit Benke, den Schwabe liebevoll „den Reisenden“ in Sachen Kinderherzen nennt, äußerte er die Hoffnung, daß sein Angebot eine zweite, ja dritte, ebenso hohe Spende auslost. Auch der Kiwams-Klub Kassel ist laut Schwabe bereit, sich an der Aktion zu beteiligen.

Karl-Heinz Benke befürchtet, daß Schwabes großzügige Spende nicht reichen wird, um Małgorzatas Behandlung zu finanzieren. Deshalb bittet der Verein unter dem Stichwort Herzoperation Małgorzata Kurzawa um weitere Spenden auf die Konten 272 beim Bankverein Bebra (BLZ 532 612 02) oder 81 00 00 81 bei der Sparkasse Cormberg (BLZ 532 500 00)

Demokracja jest nudna

CZESŁAW MARKIEWICZ

W Szprotawie wybrali burmistrza. Pisał o tym A. Siatecki... na pierwszej stronie „Gazety Lubuskiej”. Można więc zapytać: a cóż w tym wyjątkowego, że gdzieś w Polsce Gminnej wybrali sobie urzędnika? Widać nie wszędzie i nie wszystkim mieści się to w głowie.

Sesja Rady Gminy i Miasta rozpoczęła się o godzinie 10.00. Kiedy Krzysztof Burzyński — przewodniczący Rady — proponował porządek obrad, wiedziałem już, że otrzymam lekcję demokracji w najczystszej postaci. Już sam układ „mebli” na sali dawał do myślenia. Środkowy, z trzech stolów pokrytych „kleptokratycznym”, jeszcze zielonym sukniem, przeznaczony był dla radnych. Ci podzielili się na dwie antagonizujące grupy. Jedną tworzyli KOS-owcy, drugą reszta. Gdyby rok temu ktoś mi powiedział, że lewicowi „przenalowani” z SdRP zakolegują się z „zielonymi” — zdziwiłbym się. Tym czasem — myślę, że nie tylko w Szprotawie — owa „reszta” w radach gotowa jest pójść w objęcia z diabłem, byle rozbić oczywistą większość prosolidarnościową. A żeby panorama demokracji była pełna, dodajmy, że wśród tej „opozycyjnej” reszty znaleźli się ludzie o solidarnościowych korzeniach, ale nie ufający KO. I już w tym momencie można się pogubić nie tylko w szprotawskiej demokracji.

Tak więc po akceptacji — w głosowaniu — porządku obrad, odczytano kilka oświadczeń: SdRP, SD i Polskiej Partii Zielonych. Zwróciły uwagę jak ciekawie rozłożyły się akcenty. Wszystkie oświadczenia atomizowały oczywście sposób wyboru burmistrza. Otóż jeszcze przed wyborem burmistrza doszło do bardzo symptomatycznej dysputy... nomenklaturowej. Tym razem bez brzydkich skojarzeń. Choć działo o interpretację słowa „konkurs”. Kilka dni przed sesją K. Burzyński — bardzo demokratycznie — zaproponował kwalifikowany wybór burmistrza. Polegało to na wcześniejszym zgłaszaniu kandydatów i późniejszej sekcji lekcyjnej już na sesji Rady. W komunikacie przewodniczący użył słowa „konkurs”. Termin ten został dość opacznie zrozumiany przez „resztę” Rady. W końcu po trzech propozycjach poprawek usunięto słowo „konkurs”, ale powstał spór „czasownikowy”: czy Rada ma przesłuchiwać „zgłoszonych” kandydatów, czy „zgłaszanych”. Mijały godziny, a do wyboru burmistrza nie dochodziło.

Piszę o tym wszystkim, mając świadomość, że już znudziłem nawet niewybrednych czytelników. Ale akurat mnie, w odróżnieniu od redaktora Siateckiego, nie interesowało kto zostanie burmistrem w Szprotawie. Od początku było jasne, że może nim zostać tylko ktoś z KOS. Mówię o tym wprost, bo już po godzinie trwania szprotawskiej sesji, uświadomiłem sobie, że cała ta demokratyczna psychanka jest... formalnością. Jeśli w powszechnych wyborach określone siły polityczne zdobywają przytłaczającą większość, to w imię tak pojętego pluralizmu mają później oddać władzę w Radzie? Powie ktoś, że mimochodem odkrywam nowo-nomenklaturowe karty. Gdyby burmistrza mianowano — byłby to oczywiście akt z zapoznanej rzeczywistości.

Tymczasem w Szprotawie trwały... demokratyczne wybory. Wrażliwość radnych KOS była momentami wrzuszająca. Przewodniczący atakowany przez „resztę” za ujawnienie swoich „obywatelskich” sympatii, wyraźnie się peszył. A „obywatelska” większość zachowywała... demokratyczny spokój. Mijały kolejne minuty. Wreszcie wyłoniono trzech

kandydatów. I jeśli do tego momentu ktokolwiek miał jakieś wątpliwości, że po prezentacji i przesłuchaniu całej trójki, stało się jasne, że tak czy owak najmocniejszy jest Tomasz Mirakowski — lekarz z KOS. Po pierwsze: wykazał się pełną orientacją w układzie władzy samorządowej. Stwierdził, że na dobrą sprawę nie musi mieć własnego programu, bo jako burmistrz będzie reprezentował władzę wykonawczą, realizującą ustalenia Rady, będącej — nomen omen — władzą ustawodawczą. Niby oczywiste, ale nie wszyscy kandydaci posiadli tę elementarną wiedzę. „Jestem przeciwko rewolucji — powiedział T. Mirakowski — ludzie znający się na rzeczy, muszą zostać”. Oponenti wytoczyli klasyczny straszak bezrobocia. T. Mirakowski stwierdził refleksyjnie, że w tym zjawisku, nie brak pieniędzy jest najboleśniejszy, ale niemożliwość realizowania własnej podmioty wości bezrobotnego. Stąd bez względu na standard społeczny i wysokość zasiłków bezrobocia zawsze frustruje.

Kolejny kandydat, Krzysztof Kiliński — „niezależny”, w latach 1968-70 członek PZPR, później w „Solidarności” — epatował stwierdzeniem: „mam opinię innego”. W Szprotawie mówią na niego „wielki przegrany”, a to tylko dlatego, że inżynier Kiliński przegrał kilka konkursów na dyrektora. „Szprotawa jest zbyt małym grajdolem — byśmy dzielili się na frakcje. Politykę zostawmy Warszawie” — konstataował Kiliński. Ale przysłuchując się już kilka nudnych godzin szprotawskiej sesji, nawet głuchy słyszał, że to, czego obawiał się kandydat, już się stało. I bardzo dobrze! Przecież wszystkim chodzi o demokrację.

Kandydat K. Kiliński zwrócił wcześniej uwagę przewodniczącemu Burzyńskiemu, że chrząka podczas wystąpień radnych spoza KOS. „Dopóki ja będę w Radzie, nie żyjęć sobie” — deklarował radny Kiliński. Prawda była taka, że przewodniczącemu zaschło po prostu w gardle.

Trzeci kandydat Edward Mendryk — rencista z wykształceniem wyższym ekonomicznym — kandydował spoza Rady. Swoją „program” zawarł na 38 stronach maszynopisu. W programie jest wszystko: rolnictwo, budownictwo, ochrona środowiska, kultura i oczywiście... demokratyzacja życia. Tymczasem był naczelnik Bagiński zadał kandydatowi pytanie: „Panie Mendryk, 20 lat temu był pan urzędnikiem państwowym, czy potrafi pan przedstawić się na nowe warunki? Ja nie potrafiłbym, dlatego nie kandyduję na burmistrza”. E. Mendryk odpowiedział, że „w 1957 roku był na kursie w Urzędzie Rady Ministrów. Pewne symptomy nowej sytuacji już wtedy dojrzywały” — w tym momencie słyszało się na sali pomruk zdziwienia. Na koniec Mendryk zgodził się z Kilińskim — zdradzając tęsknotę do jakiegoś frontu jedności narodowej — i zastosował pointę bajki Krylowa o szczupaku co to do przodu, raku, który do tyłu i łabędziu ciągnącym do góry.

W przerwie przed głosowaniem nie mówiono o demokracji. Pewien szprotawski handlowiec zagadnął przy papierosie o recessji. W „Diamilu” pełne magazyny, ludzie nie mają co robić, puste kieszenie i złość na Balcerowicza. — mówił. Po czym dodał: „Trzeba robić pod klienta, a nie... pod siebie”.

Panie z „Dwutygodnika Szprotawskiego” zwróciły się do red. Siateckiego o poradę, gdzie, jak i po co rejestrować pismo. Redaktor odpowiedział, że można nie rejestrować pozostając w tzw. drugim obiegu. Nie spodobało się to paniom i postanowiły już nie siedzieć obok redaktorów.

o przerwie ogłoszono wyniki głosowania. Burmistrem został Tomasz Mirakowski. Cała „reszta” Rady oddała swoje głosy na Kilińskiego. Efekt... demokratycznych wyborów był taki, że owa „reszta” oddała swoje głosy nawet na dziadka Posepszyńskiego, byle nie należał do KOS. Jak dowiodły rozmowy w przerwach sesji, już wkrótce w Szprotawie i chyba w całej Polsce, opadną emocje personalne i zaczną się schody. Akurat T. Mirakowski jest świadomy pustki jaką przyjdzie mu wypełniać. Wybrano go po 6 godzinach demokratycznych operacji. Były protesty, „kwestie formalne”, „ad vocem” itp. A jak „personalna” jest ta demokracja świadczy fakt, że później cały skład USC przegłosowano w całości, bez czepiania się poszczególnych życiorysów, przynależności etc itp.

Demokracja jest więc nudna, ale jaka ekscytująca! Na najniższym szczeblu atmosfera jak w angielskim parlamencie. Wydaje się, że możliwość takiego sejmikowania, to jedno z największych osiągnięć obywatelskich. Ta rewolucja musi się podobać.

Osobiście twierdzę jednak, że w okresach przejściowych lepsza od demokracji jest dyktatura. Dziś przydałaby się np. dyktatura elit. Tymczasem mamy do czynienia z dyktaturą... demokracji. Szkopuł w tym, że z tą większością różnie bywa. Oby ta dzisiejsza trzymała fason. Jutro może być inna.

Po szprotawskiej sesji odjechałem do Zielonej Góry w jednym „polonczynie” z red. Siateckim. Mendał oglądałem... pluralistycznie zmęczony i znudzony... demokracją.

Personalia

JÓZEF KRAKOWIAK

Przewodniczący Komitetu Obywatelskiego w Zielonej Górze. Lat 49, spawacz, przerwane studia na Wydziale Budowy Okrętów Politechniki Szczecińskiej, Zielonogórzanin od 15 lat. Przewodniczący Międzypokładowej Komisji NSZZ „Solidarność” w Fabrykach Mebli.

Zonaty (Antonina — księgowa w Spółdzielni Mleczarskiej), trzech synów: Tomasz (l. 22), Andrzej (l. 20), Rafał (l. 13). Za palony wędkarz, szczyści się szczupakiem 14,75 kg i węgorzem 3,5 kg. Czyta wszystko. Podstawowa cecha charakteru: zdecydowanie. Dewiza życiowa — „cokolwiek robisz, rób dobrze”.

NOWE PREZYDIUM
KOMITETU OBYWATELSKIEGO
W ZIELONEJ GÓRZE

Józef Krakowiak (przewodniczący), Bogusław Baj, Witold Czarnecki, Anna Kruszyna, Stefan Mikuła, Jakub Piekarczyk (Chrześcijańsko-Demokratyczne Stronnictwo Pracy), Andrzej Przybylski, Leszek Szydłowski (Stronnictwo Demokratyczne), Edward Tuliszek, Włodzimierz Woźniak (KPN), Marek Wojtowicz.

RZUCAŁAM PALENIE

ANNA BUŁAT-RACZYŃSKA – część III

Rzucić palenie? To bardzo proste! Robilem to już setki razy — powiedział bodaj Marek Twain.

Niepowodzenie jest porażką tylko wtedy, gdy zrezygnuje się z podejmowania kolejnych prób. Dlatego postanawiam spróbować jeszcze raz. Może w końcu ostatni? Mówię sobie: przecież chcę z tym skończyć. Mam dosyć duszącego kaszlu i drapania w gardle, smrodu w mieszkaniu, poślizgniętych palców i firanek. Mam dosyć niepokoju spowodowanego brakiem papierosa, nerwowych poszukiwań po sąsiadach, wściekłości pod zamkniętym kłosem.

Adwentyści Dnia Siódmego obiecują pozycie się nałogu w ciągu pięciu dni. Plakaty głoszą: przyjdź! Spróbuj!

Główna batalia z nałogiem zaczyna się dziś, w poniedziałek. Rozpoczynamy „ceremonię pogrzebową”. Mieliliśmy przynieść na dziś wszystkie papierosy, fajki, tytoni i cygara, które nam pozostały. Zebrać wypalone niedopalki, pety, nawet popiół. Wszystko to trzeba było włożyć do szklanego słoiczka, albo plastikowej torebki. Będziemy „grzebać nałóg, kaszel i zadyszki”.

Polecenie trochę śmieszy, ale poddajemy mu się bez większego sprzeciwu. W końcu to tylko symbol. Pastor mówi, że na „odwyku” w Stanach stosuje się przy tej „zabawie” prawdziwą trumnę. My mamy zwykły, plastikowy kosz na śmieci. Każdy wrzuca do niego to, co przyniósł. Jedna z pań — parę pustych pudełek po drogich papierosach, ktoś parę papierosów w zmiętej paczce. Siedząca z przodu dziewczyna z warkoczkiem ma wódeczek z folii ściągnięty gumką, a w nim resztkę tytoniu i popiołu z popielniczki. Kiedy wyjmuję go z torby, widać na jej dnie nowiutką, dopiero co rozpoczętą paczkę „Caro” i zapalniczkę. Na pyłające spojrzenie zdziwionych sąsiadów odpowiada speszona, że nie może przecież pozbyć się wszystkiego. Że kiedy nie ma papierosów jest nieznośna dla otoczenia, w nocy budzi sąsiadów. Słowem — musi je mieć i już...

Oglądamy film o raku głowy i szyi. Niektóre kadry są wręcz przerażające. Budzą mdłości, obrzydzenie, lęk. Widzimy tych samych ludzi w miesiąc, dwa, dziewięć i jedenaście od zachorowania. Ci chorzy nie decydują się ani na operację, ani na leczenie, ani też nie zamierzają przestać palić. Jednemu z nich rośnie broda — monstrum, coś, z czym nie da się żyć. Umierają.

Najbardziej jednak wstrząsa i przynębia obrazek palaczy po operacji, tych którym założono rurkę tracheotomiczną do krtani. Oni do tej rurki wkładają papierosa! Mają już wyłączone usta i nawet w obliczu śmiertelnego zagrożenia, mając świadomość, że to palenie tytoniu jest przyczyną choroby, nie decydują się na rzucenie palenia. Cierpią z bólu i palą.

Pastor pyta, czy ktoś z nas podjął już decyzję. Podnosi się kilka rąk. Jeden z panów nie pali już od tygodnia. Mówi, że zdążył już uzyć w tym czasie parę kilo i bardzo go to martwi. Pastor udziela wskazówek jak sobie radzić z nadwagą, która może pajawiać się u rzucających palenie.

Do rozmowy włącza się jeden z panów, który rego nie wdzieliśmy na poprzednich zajęciach. Ujawnia się. Jest lekarzem. Prowadzi oddział płuca w szpitalu. Przyszedł popatrzeć jak wygląda kuracja odwykowa. Sam jest byłym palaczem. Skończył z nałogiem przed piętnastu laty, ale dziś, kiedy ktoś go poczęstuje, sięga po papierosa jakby nigdy nie. Bierze go w rękę i odkłada. Nawyk jest czasem silniejszy od nałogu.

Pan doktor wyraża opinię, że zbyt mało wagi przywiązuje się tutaj do aspektu filozoficznego i religijnego sprawy, nie sięga się do źródeł niepokoju, które każą sięgnąć człowieka po papierosa. Zdrowie, to przecież nie tylko biologia ale i psychika. Pastor jest w trochę niezręcznej sytuacji. Stara się być maksymalnie tolerancyjny. Rozumiemy, że obawia się, aby nikt nie posądził go o to, że „odwykówka” jest pretekstem do zjedwania kościółowi Adwentyistów nowych wyznawców. Dlatego pastor często powtarza, że choć jesteśmy w kaplicy, nie interesuje go nasz światopogląd.

Lekarz zabiera głos na temat roli strachu, w zwalczaniu nałogu. Utrzymuje, że strach przed chorobą nie jest ani dobrym lekarzem, ani doradcą. Wszyscy się z tym zgadzamy. Jeśli mamy się wprowadzić w strach, to aby leczyć się z niego, sięgamy po papierosa. Pastor jest tego samego zdania — przedstawiający dramatyczne sceny film ma w zestawie tylko jeden i nie ma on służyć budzeniu psychozy strachu. Trzeba raczej sprawiać sobie powody do radości i wewnętrznej, duchowej równowagi, zdać sobie sprawę z odpowiedzialności. Małżonkowie utrzymują na przykład, że się kochają, a trują wzajemnie. Mówią, że kochają dziecko, a palą, kiedy ono śpi w łóżeczku, obok.

Rozmowy przy szklance wody mineralnej. Zgadamy się, że palenie w znacznym stopniu wynika ze słabości człowieka, że przeprowadza go czasem przez trudne momenty w życiu. Pan doktor proponuje zawiązać małą grupę samopomocy, coś na kształt społeczności. Pani w warkoczku mówi, że nie paliła już cztery godziny i w końcu złamała się. Pastor jej nie gani, ani nie krytykuje. Zartuje, że przecież Edison próbował z dziesięć tysięcy razy, zanim otrzymał efekt w postaci żarówki. **Kłękaj nie jest przecież ten moment słabości, ale chwila w której postanawia się zaprzestać dalszych prób.**

Oglądamy slajdy o tym, jak się zaczęło to z tytoniem. O pierwszych przypadkach uzależnienia wśród Indian, o pierwszych, najpierw przypadkowych palaczach liści tytoniu.

WTOREK

Niektórzy przyszli wcześniej. Rozmawiamy przed furtką. Taksówkarz martwi się, bo dziś jeszcze wypalił sześć papierosów. Mówi, że u niego wszystko zależy od tego, jak długo stoi na postoju. Gubi go nawyk. Młody kierowca nie pali od niedzieli, tak jak sobie postanowił. Zamierza nie łamać się.

W kaplicy mamy niespodziankę. Przyszli uczestnicy poprzedniego kursu sprzed trzech miesięcy. Jest ich sześcioro. Nie palą. Traktujemy ich jak „ludzi sukcesu”, pytamy co spowodowało, że tu przyszli wtedy. Jedna z pań mówi, że to była... ciekawość. Czy się uda, czy jest w stanie, czy sobie poradzi. „Nie umiemy ciekawość tej zbiorowej terapii. „Nie umiemy otwierać się przed obcymi ludźmi — mówię — A czasem jest to bardzo potrzebne”.

Wśród niepalących od trzech miesięcy jest kierowca. Mówi, że palił przez 31 lat i to tylko „exta mocne”. Kiedy pojawiły się problemy z kupieniem tych papierosów, ogarniał go stres nie do opisania. Między innymi dlatego „poszedł po rozum do głowy”. Przestał uganiać się po mieście za papierosami.

Czy było im łatwo? Jedna z pań mówi, że obawia się, bo jej zdaniem aż za łatwo. Inna opowiada o dolegliwościach, jakie produkował jej organizm pozbawiony nagle nikotyny, aby „wyłudzić” dymka. Pojawiła się bezsenność, zawroty głowy, nadpobudliwość. Inna uczestniczka poprzedniego kursu mówi, że jeszcze nie czuje się całkowicie wolna od nałogu. Bo się, że w każdej chwili chęć zapalenia może okazać się silniejsza od niej.

Co się komu na kursie podobało, co mniej? Otóż najwyższą oceniono możliwość spotkania, wymiany zdań, rozmowy. Poznania nowych ludzi.

A korzyści z rzucenia palenia? Tu wypowiedział się każdy z wolnych już od nałogu. „Rano już się nie kaszle, albo mniej”. „Lżej przechodzi się alkoholowego kaca”. „Dziecko się cieszy. Trzynastoletni syn jest wręcz dumny z mamy i taty”. „Odczuwa się zapachy, lżej się oddycha”.

Podobno z 40-osobowej grupy sprzed trzech miesięcy do dziś nie pali 26 osób. Nam, nowicjuszm, wydaje się to budujące.



MOTYWACYJNA HERBATKA NAUCZYCIELA

Ucieszyłam się z powstania „Gazety Nowej”. Kuszą mnie jej tytuły, dlatego chętnie ją przeglądam.

Zdecydowałam się napisać do waszej redakcji o moich odczuciach i refleksjach dotyczących wynagrodzeń nauczycieli. Wielu pedagogów nie wie, że obecny system płac jest wypadkową kompromisowych ustaleń z wyjątkiem jednej sprawy, a mianowicie systemu motywacyjnego. Cytuję za „Głosem Nauczycielskim” nr 9: „Dwa odmienne stanowiska placowe przyjęły oba związki, „Solidarność” była za placą obligatoryjną, a ZNP za pozostawieniem dyrektorom i radom pedagogicznym prawa decydowania co do podziału kwot”.

ZNP chce zapewne z dyrektorów zrobić dobrych wujasków, aby w ten sposób mogli wytrąbić po korę w gronach pedagogicznych i móc sobie ich podporządkować. W Zielonej Górze tylko dwie szkoły przegłosowały pensję motywacyjną. Pozostałe wybrały placę obligatoryjną. Świadczy to niezbicie, że wariant ZNP upadł.

Także w „Głosie Nauczycielskim” wyczytałam, że nie ma rzetelnego narzędzia pomiaru jakości pracy nauczyciela. Pozostaje subiektywna ocena na oko w zależności od stosowanych przez dyrektorów kryteriów, czyli inaczej mówiąc subiektywnego widzimisię dyrektora. Czy według takich kryteriów można ustalać zarobki nauczyciela?

W służbie zdrowia lekarzom nikt nie wystawia oceny pracy, a jest wśród nich wielu wybitnych specjalistów, np. takich, jak zmarły dr Lech Wierusz. Nauczycielom wystawia się cenzurki do akt osobowych. Od tych cenzurek zależy czy pedagog-nauczyciel może robić specjalizację. Aby nauczyciel-pedagog mógł zdawać egzamin na specjalizację przed państwową komisją, musi mieć najpierw opinię dyrektora, że jest szczególnie wyróżniający się, inaczej nie ma prawa być specjalistą. Czy to nie kabaret?

Ciekawa jestem jak długo jeszcze polski nauczyciel będzie spętany i uzależniony w swoich dążeniach do wiedzy od swojego dyrektora.

Wczoraj rozmawiałam z emerytowanym nauczycielem. Oto co powiedział:

„Byłem w odwiedzinach u mojego kolegi, który 20 lat jest na nauczycielskiej emeryturze. Po częstował mnie ekspresową herbatką, którą zalewał kilka razy i liczył paczuszki, na ile jeszcze dni wystarczy. Prosił, abym mu pożyczyl parę groszy do pierwszego”.

Nie mogłam tego słuchać, zatkało mnie w gardle, a z oczu popłynęły łzy. Pytam, dlaczego w tamtych czasach, kiedy nauczyciel pracował za grosze, ZNP nie szukało motywacji?

Dlatego z pewną odpowiedzialnością i odwagą opowiadam się za likwidacją ocen pracy nauczyciela i optuję za wariantem obligatoryjnym, który wybrało całe środowisko nauczycielskie, a nie za motywacją uzależnioną od cenzurek dyrektora.

STEFANIA ZAREMBA

PS. Pracuję w Wojewódzkiej Poradni Wychowawczo-Zawodowej w Zielonej Górze jako pedagog do spraw orientacji i poradnictwa zawodowego dla uczniów zdrowych. Mój staż pracy nauczyciela pedagoga wynosi 11 lat.

Nawet ARCHANIOŁ się zbiera

Z MIECZYŚLAWEM F. RAKOWSKIM ROZMAWIA SŁAWOMIR GOWIN



RED.: Zszedł pan ze sceny politycznej. Jest to wynik wyłącznie zbiegu okoliczności, czy też miał Pan dosyć tej zabawy?

MIECZYŚLAW F. RAKOWSKI: Polityka niestety, nie jest zabawą. Wciąża człowieka, wymaga wielkiej energii, odporności psychicznej — po prostu zdrowia. Jeśli chodzi o mnie to zszedłem ze sceny politycznej w wyniku zaistniałych okoliczności. Byłem, jak Panu wiadomo, ostatnim pierwszym sekretarzem KC PZPR. Pojawiła się konieczność pożegnania z PZPR i założenia nowej partii, uznałem więc za rozsądne przekazanie steru w ręce młodego pokolenia ludzi reprezentujących lewicowe poglądy. Oczywiście, byłem przy tym dostatecznie zmęczony psychicznie i fizycznie, żeby odchodzić z poczuciem ulgi. W tym nastroju pozostają do dziś: mam czas na odpoczynek, czytanie, pisanie.

RED.: Czy nie odnosi pan wrażenia, że politycy Pańskiej formacji jakoś nie potrafią uprawiać polityki na „oklep”, bez konstytucyjnego zapisu o „kierowniczej roli”?

MFR.: — Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale mnie nigdy zapis o „kierowniczej roli” nie był potrzebny do uprawiania polityki. Uważam, że nie byłem wyjątkiem. Prawdą natomiast jest, że w realnym socjalizmie polityk, to znaczy człowiek, który broni swoich poglądów i zwalcza inne, jego zdaniem niesłuszne, faktycznie nie istniał. Tylko w pierwszych latach po Rewolucji Październikowej, a w Polsce w latach 1944-48 istniała sytuacja społeczno-polityczna, która sprzyjała walce politycznej a więc i istnieniu „kasty” polityków. System stalinowski zastąpił polityków działaczami. Funkcjonował „działacz” społeczny, partyjny, związkowy. Polityk to brzmiało

niemal obraźliwie. W istocie rzeczy politykiem był tylko I Sekretarz Partii, inni „działacze” nie znajdowali miejsca dla własnego zdania. To nie znaczy, że go nie posiadali, ale przyjęte normy postępowania wykluczały — obiektywnie rzecz biorąc — możliwość otwarcia tego mówienia co im się nie podoba. A jeśli wszystko było słuszne to musiał zanikać typ bojownika politycznego. Jeśli chodzi o Polskę, w gruncie rzeczy dopiero pojawienie się „Solidarności” sprawiło, że zaczęli pojawiać się ludzie, których można nazwać politykami. Po prostu runęły dogmaty i zaczęła się normalna walka polityczna.

RED.: Czyli nie uważa Pan, że formacja socjalistyczna z samej swojej natury jest nie-realna, to tylko kwestia ludzi?

MFR.: — Formacja realnego socjalizmu przegrała, ale historia się na tym nie kończy. Dzisiaj trudno powiedzieć co stanie się z lewicą w skali polskiej, europejskiej czy światowej np. w najbliższym dziesięcioleciu. Nie powinniśmy się zanadto wymądrzać na temat przyszłości bo jej nie znamy. Moim zdaniem idee socjalistyczne, które nie są przecież wynalazkiem rosyjskim ani polskim, zostaną, ludzkość zawsze będzie dążyć do sprawiedliwości społecznej. Problem leży tylko w tym jaki będzie zewnętrzny wyraz tych dążeń, kto będzie ich nosicielem. W tej chwili obserwujemy okres klęski zwolenników socjalizmu. Czy system realnego socjalizmu mógł się utrzymać? Na pewno nie. Natomiast ten kto zna historię zdaje sobie sprawę, że systemy, ustroje, struktury społeczne nie powstają tylko dlatego, że ktoś tak chce. Ich istnienie ma obiektywne uzasadnienie. Przyczyn obecnej porażki jest wiele, zwrócę uwagę tylko na jedną. Otóż każdy kto chce zmieniać rzeczywistość jest w punkcie wyjścia utopistą, wyobraża sobie że on jako jednostka lub też ruch, który reprezentuje jest w stanie dokonać zasadniczych zmian w stosunku do zastanej rzeczywistości. Siły lewicowe startujące w czasie Rewolucji Październikowej miało można potraktować jako reprezentację utopii lepszego świata. Dziś jedno z pytań brzmi: kto zawinił, ludzie czy niedoskonałość idei, wizji, koncepcji. Otóż za ważny czynnik należy uznać fakt, że rewolucja socjalistyczna zwyciężyła w kraju potwornie zacofanym ekonomicznie i kulturalnie, czyli w Rosji. Być może gdyby zwyciężyła w Niemczech czy Anglii, jak sobie wyobrażał to Marks, dzieje świata potoczyłyby się inaczej. Powiedziałem kiedyś publicznie, we wrześniu osiemdziesiątego roku, na jednym z zebrań, na którym krytykowano niedemokratyczne metody rządzenia w Związku Radzieckim, że nie można żądać demokratycznych metod rządzenia i myślenia w kraju, który w całej swej historii miał tylko pół wieku nabydemokracji: od Rewolucji Lutowej do puczu Kornilowa w lipcu tego samego roku. Poza tym krótkim okresem w Rosji panowało samodzierżawie. Dyktatura carska została zastąpiona dyktaturą proletariatu a w rzeczywistości dyktaturą partii, ściślej dyktaturą przywódcy. Prawdopodobnie ta formacja nie mogła pójść inną drogą — gdyby mogła zapewne by poszła. Za dowód weźmy przełom 47-48 roku, Stalin wstąpił wówczas na drogę likwidowania narodowych właściwości i odrębności, które w pierwszych latach po drugiej wojnie światowej istniały w krajach późniejszego realnego socjalizmu. Dlaczego tak się stało? Na pewno nie można odpowiedzi na to pytanie sprawa dając jedynie do roli i znaczenia przemocy w historii.

Myślę, że na dokonanie właściwych ocen potrzeba jeszcze czasu. Teraz, uwikłani w walki polityczne, ogarnięci namiętnościami nie jesteśmy w stanie być do końca obiektywni. Współcześni z reguły nie bywają obiektywni. Za kilka, lub kilkanaście lat oceny się zmienią, wyrównają, uspokoją. Nie ma takich sytuacji w nowoczesnym świecie, w których wszystko jest całkiem dobre albo całkiem złe.

RED.: Wyrzucano Panu swoistą „rusofiliją”. Mam na myśli np. Pańską wyprawę do Moskwy tuż po objęciu urzędu premiera. Nie do dało to Panu popularności. Jakby Pan to skomentował?

MF
uważa
pozna
nastro
były
mieck
antyr
lem i
dzieci
oparc
gospo
w tej
kim i
śmier
stojąc
ny m
jedno
drugą
tę sło
Ma
kiemy
nie u
zaufat
rała,
tam
łem w
kiedy
Nie m
zam p
zek N
lem s
bym
na W
dział
RED
o dzi
nego
społec
MF
stwo.
kiem,
swoim
czeńst
Stefan
kład:
lejn
tem l
szym
siący
stów.
cunku
ku K
śla p
„Abec
człone
na. W
pów
mi da
nigdy
jeżdżi
RED
sze, z
MF
jest i
RED
rała l
MF
zawsz
zawsz
szacu
klasy
RED
okres
instyt
re sk
MF
pyta
pewn
polity
mi. F
sie in
nej i
sort.
lo oc
li na
woli
dzie
tem,
stemi
Pojaw
dnieg
runk

MFR.: — To nie była wyprawa, a zarzut uważam za śmieszny. Pochodzę z dawnego poznańskiego, gdzie nie było antyrosyjskich nastrojów. Jeśli już to antyniemieckie; żywe były wspomnienia Drzymały i kolonizacji nie mieckiej. Ja również nigdy nie żywiłem uczuć antyrosyjskich. Ponadto zawsze reprezentowałem i reprezentuję pogląd, że Związek Radziecki powinien być dla nas najważniejszym oparciem na europejskiej scenie jako partner gospodarczy, kulturalny, polityczny. Zresztą w tej sprawie mam potężnego sojusznika jakim był Stefan Wyszyński. Właśnie on, przed śmiercią przyrównywał Polskę do człowieka stojącego w pokoju, w którym są dwie ściany mówiąc, że nie można opierać się o obie jednocześnie. Jedna ściana jest germańska, druga słowiańska. Ja, powiedziałem, wybieram tę słowiańską.

Mam też „osobiste porachunki” ze Związkiem Radzieckim ponieważ przez wiele lat nie uważano mnie tam za człowieka godnego zaufania. Uchodziłem za półrewizjonistę, liberała, socjaldemokratę, nie przyjmowano mnie tam mimo, że byłem wicepremierem. Miałem więc coś w rodzaju osobistej satysfakcji kiedy pojechałem do Moskwy jako premier. Nie ma to nic wspólnego z rusofilstwem. Uważam po prostu, że szansą dla Polski jest Związek Radziecki jako silny partner. Powoływałem się na Kardynała Wyszyńskiego, mógłbym się powołać na jeszcze jedną postać... na Wokulskiego, który w rynku rosyjskim widział szansę dla polskiego handlu.

RED.: — Pańskim sojusznikiem jest też, o dziwo, Kisiel. Zawsze chwali Pana jako zdolnego polityka, który jednak „obrazil się na społeczeństwo”. Czy to prawda?

MFR.: — Nie obraziłem się na społeczeństwo. Mam naturę polemisty i jestem człowiekiem, który od czasu do czasu daje upust swoim emocjom. Ale od obrażania się na społeczeństwo jestem daleki co najmniej tak jak Stefan Kisielewski od islamu. Podam przykład: będąc wicepremierem, pełniąc różne kolejne funkcje, z najwyższą uwagą traktowałem listy czytelników. Tylko gdy byłem pierwszym sekretarzem KC, w ciągu pięciu miesięcy odpowiadałem osobiście na pięćset listów. Jest to przejaw urazy, czy raczej szacunku dla ludzi? Myślę, że w tym przypadku Kisielewski nie ma racji. On zresztą zmyśla pewne rzeczy. Przeczytałem niedawno „Abecadło Kisielewa”, w którym pisze, że jako członek ZMP jeździłem ze swoją pierwszą żoną, Wandą Wilkomirską przekonywać chłopów do kolektywizacji i gdzieś pod Kielcami dali nam za to po zębach. Po pierwsze nigdy nie byłem w ZMP, po drugie nigdy nie jeździłem namawiać do kolektywizacji...

RED.: — Jedno się chyba zgadza. Kisiel pisze, że jest Pan klasycznym ideowcem.

MFR.: — To prawda, ale Kisielewski też jest ideowcem.

RED.: Piotka mówi, że nie lubi Pan generala Kiszczaka.

MFR.: — To absolutna plotka. O Kiszczaku zawsze wyrażałem się pozytywnie ponieważ zawsze uważałem go za człowieka godnego szacunku. Dla mnie on nigdy nie był typem klasycznego policjanta.

RED.: Pomówmy przy tej okazji o MSW. W okresach Pańskiej pracy w rządzie była to instytucja szczególnie ważna, wyiknęło parę skandali. Co Pan o tym sądzi?

MFR.: — Uważam, że okres o który Pan pyta należy rozpatrywać biorąc pod uwagę pewne realia. Był to okres wzmożonej walki politycznej, przepełniony różnymi napięciami. Rzecz jasna, że MSW było w owym okresie instrumentem w rękach władzy politycznej i jak każda inna policja, czy tego typu resort, składało się z różnych ludzi. Trudno było oczekiwać od Kiszczaka absolutnej kontroli nad wszystkimi pracownikami. Ludzi złej woli gotowych do różnych prowokacji nigdzie nie brakuje. No, ale jest również faktem, że usytuowanie policji politycznej w systemie realnego socjalizmu było nienormalne. Pojawia się w tym miejscu problem odpowiedniego systemu zabezpieczeń. Ale czy w warunkach realnego socjalizmu możliwy był w

ogóle niezależny system kontroli? System, który sam ustanawiam nie jest dla mnie żadną kontrolą. Mówiłem o tym wielokrotnie. W każdej władzy jest się narażonym na degenerację, nawet anioł się zdemoralizuje. Natomiast we władzy niekontrolowanej nawet archanioł się zbiesi. W systemie władzy, w którym policja nie jest kontrolowana zawsze istnieje ryzyko prowokacji. Największą prowokacją było oczywiście zabójstwo Popieluszki, które zmieniło całkowicie sytuację polityczną w Polsce, wywołało ożywienie opozycji. Mój osobisty stosunek do MSW był podsztywną pewną nieufnością a wiarygodność wielu otrzymanywanych informacji dzieliłem przez pół.

RED.: Czy może Pan powiedzieć coś na temat Pańskiego „zesłania” na stanowisko wicemarszałka Sejmu?

MFR.: — Zesłanie to nie jest dobre słowo. W rządzie jaki tworzył prof. Messner nie mogłem zostać z uwagi na cechy charakterologiczne i układ sił w tym rządzie. Nawet gdybym został, szybko pokłóciłbym się z Messnerem i wyskoczyłbym z halasem. To była główna przyczyna, nie pasowaliśmy do siebie. Zresztą ja bardzo sobie chwalebny okres pracy w Sejmie. Miałem dwa lata na ładowanie akumulatorów, praca nie była tak mordercza jak w rządzie. Tak więc nie mam do nikogo pretensji, przeciwnie, uważam, że Jaruzelski dobrze zrobił proponując mi przejście do Sejmu.

RED.: Jak wyglądają Pańskie stosunki w opozycji? Jako polityk posiadający władzę zwalczał ją Pan dosyć ostro.

MFR.: — Tak. Sądziłem, że możemy dokonać zmian w systemie w oparciu o własne siły. Chcieliśmy reformować nie korzystając z oparcia opozycji. Zwalczałem opozycję nie dlatego, że uważałem iż w ogóle nie może jej być. Wiedziałem, że jest ona trwałym elementem w historii Polski. Walczyłem z nią jak z przeciwnikiem politycznym, nie jak z wrogiem. Do pewnego czasu wychodziłem z założenia, że „my to zrobimy sami”. Z drugiej strony proszę nie zapominać, że byłem jednym z tych polityków w PZPR, którzy to rowali drogę do Okrągłego Stołu i to ja zadałem na X Plenum, wówczas głośne pytania co dalej z opozycją i „Solidarnością”. Wyróżniałem opowiadanie się za uznaniem opozycji i „Solidarności” jako stałych elementów życia politycznego kraju.

RED.: Co Pan teraz robi? Znajdujemy się w redakcji „Przeglądu Społecznego”. Co to znaczy?

MFR.: — Jest to miesięcznik, którego redagowanie powierzył mi kongres SuRP. Zajmuję się tym chociaż trudno w tej chwili powiedzieć czy się uda. Decydować będą finanse. Poza tym zaczynam pisać książkę o roku 1988-89, piszę i publikuję za granicą komentarze na tematy europejskie, udzielam wywiadów. Mam też szereg innych planów pisarskich; chcę napisać książkę o marcu 1968 roku, „Polityka” była wówczas jedynym pismem jakie przeciwstawiło się tzw. antysyjonistycznej kampanii mam wiele unikalnych dokumentów z tego okresu. Inna rzecz, może najważniejsza to opracowanie moich dzienników, które prowadzę od ponad trzydziestu lat. Planuję różne wyjazdy, odczyty. Będę więc funkcjonował na scenie politycznej, choć nie na proscenium. Tam są inni, mają zresztą równie trudne zadanie jak ja kiedy byłem premierem. Oby im się udało.

RED.: To znaczy, że nie jest Pan w opozycji?

MFR.: — Jestem w opozycji choćby dlatego, że zaliczam się do lewicy a nie do centroprawicy. Natomiast rozróżniam stosunek do formacji centroprawicowej od stosunku do konkretnej sytuacji. Niezależnie od krytycznych uwag jakie miałbym pod adresem planu Balcerowicza wiem i wiedziałem jako premier, że w tym kierunku należy pójść. Również niezależnie od mojego stosunku do Mazowieckiego jako reprezentanta centroprawicy wiem, że jest to premier, któremu trzeba udzielić poparcia.

RED.: Dziękuję bardzo za rozmowę.

MFR.: — Dziękuję.

Radzie miejskiej pod rozważę

Plan regulacyjny miasta zamiast „bacówek”

12 czerwca br. odbył się przetarg na oddanie w użytkowanie wieczyste działek położonych przy al. Wojska Polskiego (na wysokości „Mrowiska”) i Zaczysza — Prostej, przeznaczonych pod budowę obiektów, w których w przyszłości ma być prowadzona działalność handlowa, usługowa i drobnej wytwórczości. Przetarg ogłosił Wydział Geodezji i Gospodarki Gruntami Urzędu Miejskiego w Zielonej Górze.

Dla zobrazowania atmosfery przetargu i zainteresowania kupnem choćby skrawka ziemi (65 m kw. do 237 m kw.) powiem, iż przetarg zaczynał się od ceny 3 mln zł, a skończył się w przypadku działki największej na 60 mln zł. W sumie wraz z pierwszą opłatą roczną na wstępie należało za działkę zapłacić ponad 100 mln zł.

Fakt, iż Polacy mają pieniądze cieszy, ale nie o tym chciałam pisać. Zastanowiły mnie warunki architektoniczno-urbanistyczne jakie postawiło miasto przyszłym inwestorom. Po pierwsze można było nabyć tylko jedną działkę, mimo, że są one zblokowane i wymagają zabudowy w „jednej kubaturze” lub szeregowej. Po drugie wysokość budynków ograniczono do parteru z użytkowym poddaszem, przykrytym stromym dachem.

Pierwszy wymóg uniemożliwił kupno wszystkich działek jednemu inwestorowi, który posiadając odpowiednio dużo pieniędzy mógłby wybudować np. niewielki dom handlowy. Drugi wymóg jest trudny do zrozumienia. W otoczeniu budynków o pięciu i jedenastu kondygnacjach narzuca się budowę niskich obiektów. Ich stylistyka będzie najprawdopodobniej zbliżona do pawilonów handlowych znajdujących się na placu „Przy Gazowni”. Ulica Wojska Polskiego będąca przedłużeniem ul. Bohaterów Westerplatte, być może w przyszłości nabierze charakteru ulicy reprezentacyjnej (stoi już przy niej siedziba Narodowego Banku Polskiego). W tej sytuacji kontynuowanie stylu małych pawilonów o wyglądzie „bacówek” budzi moje wątpliwości. Obawiam się, że dopóki nie powstanie plan regulacyjny miasta, wybrany spośród wielu koncepcji architektoniczno-urbanistycznych opracowanych na bazie raportu o stanie miasta i jego potrzebach, dopóty prześladować nas będą nieprzemysłane decyzje.

JOANNA PIOTROWICZ
architekt

Zawiadamiamy PT Klientów że wznowił działalność zakład „BUDBET”

Bobrowice 28a, tel. 92, godz. 8-15

sprzedaż kręgów studziennych na szambo, belek stropowych — pustaków z transportem na plac budowy.

Gała władza w ręce WSI?

Przez lata mówiono o województwie zielonogórskim: „laski, pisaki i lembaski”. Dzisiaj robi karierę wierszyk:

„Sześć rejonów, kilka wsi,
a reszta to WSP”

Ba. pojawiły się nawet plakaty, ponoć firmowane przez KPN. Na jednym gmach UW zdobi tabliczka: Wyższa Szkoła Inżynierska. Na drugim widać ptaszka, rogatego barana i sylwetkę w chmurce, podpis głosi: „wicewojewoda i dyrektor Wydziału wymyślił Zmyślonego”.

Idąc tym tropem, wpisujemy na naszą listę wicewojewodę, posła dr inż. JAROSŁAWA BARAŃCZAKA (pamiętając przy tym o drugim pośle, prof. dr hab. inż. TADEUSZU BILINSKIM) oraz dyrektorów Wydziałów Urzędu Wojewódzkiego: dra inż. WŁADYSŁAWA DROZDA (Infrastruktura Techniczna) i dra inż. MIROSLAWA ZMYŚLNEGO (Organizacja i Nadzór). Do kompletu brak jeszcze dra inż. JANUSZA STANISŁAWSKIEGO, który od 1 lipca obejmie Wydział Ochrony Środowiska. Wojewódzki szczebel to także przewodniczący Komitetu Obywatelskiego „S” dr inż. JANUSZ RAJCHE i sekretarz mgr inż. KRZYSZTOF KALISZUK. W skład zielonogórskiej Rady Miejskiej wchodzi: dr inż. FRANCISZEK WERNER (przewodniczący), dr inż. W. Drozd (vice), dr inż. ZYGMUNT LIPNICKI i dr ZBIGNIEW BRODECKI (o wejście do niej ubiegali się również dr inż. ROMAN SOB-CZAK i mgr inż. STEFAN BIGDA). Dr inż. WITOLD CZARNECKI wybrany został kilka dni temu członkiem prezydium miejskiego KO. Mgr inż. KRZYSZTOF ZATORSKI jest szefem KO w Dąbiu, dr inż. TADEUSZ SZULAWSKI — burmistrz Sulechowa. „Promiennica” lista byłaby o wiele dłuższa, gdyby na przykład dr inż. WŁADYSŁAW BARELKOWSKI i dr inż. STANISŁAW PRYPUTNIEWICZ nie zrezygnowali z oferowanych im stanowisk, a dr inż. STANISŁAW IWAN (współtworzący rok temu KO) nie wyjechał na kontrakt do Afryki.

Nie ma więc co ukrywać, nie chodzi tu o jednostkowe przypadki, lecz o pewne zjawisko. Najprostsze jego wyjaśnienie to — „klik”. Zławsza niechętni nowej władzy szepczą zza węgla, że: „Barańczak obstawia się swoimi ludźmi”. Nie byłoby w tym nic dziwnego. Swoich najlepiej się zna, do swoich ma się największe zaufanie. Trudno stawiać w pierwszym rzędzie na przeciwników politycznych. A pod względem kwalifikacji, dobór nowych dyrektorów wydaje się całkiem trafny. Dr inż. Stanisławski z Instytutu Inżynierii Sanitarnej, to spec od ochrony środowiska, współorganizator spółki „EKO-SYSTEM”, zajmującej się eksperymentami i projektowaniem w tej dziedzinie. Dr inż. Drozd, ceniony znawca problematyki transportu, posiada bogate doświadczenie zawodowe, także z przemysłu; pracował już w UW jako kierownik jednego z działów, tworzył w Zielonej Górze Technikum Samochodowe. Dr inż. Zmyślony (przygotowujący rozprawę habilitacyjną, dotyczącą komputerowo wspomaganego projektowania układów sieciowych i systemów) ma koncepcję systemu informatycznego, który będzie wspomagał podejmowanie decyzji na szczeblu wojewódzkim. Województwo i urząd to przecież nie innego jak sieć o precyzyjnie określonych wzajemnych powiązaniach. Bardziej teoretycy niż praktycy? „Życzylbym czystym praktykom, aby mieli taką wiedzę, wyobraźnię i chęć działania” — broni swych kandydatów wicewojewoda.

Teoria „klik” ma zresztą wale podstawy. W końcu, dyrektorów z WSI jest tylko trzech. Wielu dzisiejszych „promienników” wyszło z uczelnianego cienia całkowicie o własnych siłach, bez barańczakowego impulsu. I dali

się poznać jako ludzie niepokorni, pełni inicjatywy i społecznego żaru, grubo wcześniej. Kiedy nikomu nie śniły się jeszcze mniej czy bardziej lukratywne posadki. Kiedy NOWE było źle widziane.

„Uczelnia są dziś jedynym właściwie miejscem, gdzie można znaleźć ludzi aktywnych, dobrych organizatorów, patrzących dalej, niż na koniec własnego nosa — twierdzi prorektor WSI doc. dr hab. inż. Marian MIŁEK — Ci z innych środowisk realizują się przeważnie w prywatnej inicjatywie”. Dr inż. Barańczak mówi o swoistej przechowalni osób z wysoko rozwiniętym poczuciem niezależności, dr inż. Sębczak — o „kwiecie inteligencji, który nie dał się zakuć w kajdany”, dr inż. Szulawski — o naturalnym źródle społecznej elity. Wszyscy są zgodni: obserwowana dziś wzmocniona aktywność społeczno-polityczna pracowników naukowych jest zjawiskiem całkiem normalnym. Zwłaszcza w sytuacji, gdy brak środków nie pozwala na realizację naukowych ambicji. Kiedy można sprawdzić w praktyce swe teoretyczne umiejętności, kiedy w ogóle — można się sprawa dźić. A nawet więcej — trzeba. „Walczyliśmy o inną Polskę, musimy ją teraz współtworzyć” — usłyszą od dr inż. Drozda. Brzmi to patetycznie, ale prawdziwie. Z aktywnością społeczną nie zawsze wiąże się jakiegokolwiek profity. Także narzekania żony, która wolałaby męża w domu, nowe nuble i nowy samochód.

Zaden z nich nie wziął z uczelnia całkowitego rozwoju. Nawet poseł wicewojewoda zaplanował sobie w nowym semestrze dwie godziny zajęć tygodniowo. Prorektor Miłek cieszy się i martwi zarazem: z jednej strony — poczucie społeczne dowartościowania WSI, z drugiej — kłopoty z dydaktyką. Ja zaś dumam o powtórzeniu w Zielonej Górze „paradoksu Nowej Huty”. Budowano ją przed laty, aby przeciwstawić klerykalnemu „reakcyjnemu” Krakowowi wielkoprzemysłowe środowisko robotnicze, przodującą klasę nowego ustroju. Tymczasem właśnie z Nowej Huty wyszedł między innymi solidarnościowy impuls, który w końcowym efekcie zmógł z polskiej sceny realny socjalizm. Podobną sytuację obserwujemy w Zielonej Górze. Holubiona przez partyjne władze Wyższa Szkoła Inżynierska dostarcza dziś oficerów miejscowej „rewolucji personalnej”. Czyż mógł to przewidzieć przed laty tow. Hebda lub inny czerwony budowniczy „lubuskiej drogi do uniwersytetu”?

I jeszcze jeden lokalny paradoks. Na drugim krańcu miasta, w Wyższej Szkole Pedagogicznej, odnotowujemy w tym samym czasie „powroty na tarczę”. Po rozwiązaniu PZPR pojawił się były kierownik Wydziału Nauki KC prof. dr BRONISŁAW RATUŚ (jak głoszą plotki — „wyproszony” z Bydgoszczy przez Jana Rulewskiego). Z gmachu b. Komitetu Wojewódzkiego przywędrowali doc. dr hab. KRZYSZTOF KASZYŃSKI i dr CZEŚLAW OSEKOWSKI. Poniektórzy plażą po dodatkowych zarobkach w wieczorowych szkołach i szkółkach marksizmu-leninizmu. Powody do zadowolenia mają jedynie: mgr PAWEŁ SUDER — nowy dyrektor Wydziału Spraw Społecznych UW i ściągnięty przez niego na zastępcę mgr TOMASZ PIERSIAK. Cóż, fortuna kołem się toczy. Dziś już czerwone nie wygrywa...

EDWARD J. MINCER

PS. Z ostatniej chwili: w Biurze Poselsko-Senatorskim OKP zatrudniona została jako starszy specjalista BOGNA OLEKSY, tegoroczna absolwentka Wydziału Budownictwa i Inżynierii Sanitarnej WSI, najlepsza studentka wicewojewody. „skaperowana” przez sekretarza KO. Kto następny?

OŚLE USZY W TEATRZE

Ośle uszy udało się „wyreżyserować” Wiesławowi Holdysowi — autorowi pomysłu na zielonogórskiego „Pinokia” — nie udało się jednak sztuczka z wydłużaniem nosa. Mówiąc serio: zafundowali sobie aktorzy pracowity, acz higieniczny oddech w końcówce sezonu. Złośliwi mówią, że „dramat” pozadrościł „lal kom” finansowych „sukcesów”, stąd ten dziecięcy spektakl na poważnych deskach teatralnych. Jednak przetrawiwszy nieco nudnawy pierwszy akt, już w drugim, nawet dorosły widz znajdzie odrobinę ekscytacji: ot choćby Sigridę Siwior jako „cyrkówkę” podającą dość przewrotny tekst o wyjątkowych właściwościach pajaca Pinokia. Mimo, że pewnie widzowie robieli są... w osła, należy ten spektakl potraktować jako „zadanie domowe” dla aktorów. Tak to dorosłego snoba, albo lokalnego patriotę można oszukać „naszym” teatrem. Dzieci są w ocenach i reakcjach na tyle naiwne, co okrutne. Także zasiadłem na widowni jako jedyny dorosły. Okazało się że: W. Deneka jest bezsprzecznie śmieszny! Już pierwsze jego „wygięcie się w kota” pobudziło salwę małoletniego śmiechu. M. Wower ma zdolności pedagogiczne... nie udało się jej przekonać dzieci, że jest taka kraina gdzie nie ma belfrów. E. Donimirska jest aktorem! Dzieci uwierzyły, że to facet o dość podejrzanej, platynowej fryzurze. I można tak cenzurować aktorów w nieskończoność. Suma sumarum jak mówią księgowi — wszyscy otrzymują promocję do następnej klasy. Trzeba jednak zapytać pana profesora, czy warto było tyle razy się przebierać, tyle „motać”, żeby na chwilę odciągnąć dzieciaki od Thoralli, Kajków, Kokosów i innych „zgenerowanych” bohaterów?

Ja myślę, że warto! Staruszek Pionokio, a la Pierrot, może się okazać bardzo egzotyczny. A i aktorom należy się intelektualny urlop po niewątpliwie mózgowych meandrach... Gol doniego, Fredry, Mniskówny...

CZESŁAW MARKIEWICZ

Ja tak bardzo chcę żyć...

(Ciąg dalszy ze str. 4)

Człowiek w pomaganiu innym i red. Mieczysław Więckowicz wręczyli w piątek przewodniczącemu fundacji „Aneta Sieniawska”. Wraz z nim po Malgosię i jej starszą siostrę Danutę przyjechał do Zielonej Góry znany niegdyś niemiecki lekkoatleta, Herman Schwabe, architekt z zawodu. Czytał o Malgosi. Jego najstarsza córka jest w tym samym wieku. Postanowili z rodziną, że udzieli obu siostronom gościny. Jeśli zaistnieje taka potrzeba, pomoże finansowo. — Uwaga! to za naturalne. Ta sprawa jest ważna i pilna. Chodzi o zdrowie dziecka.

Malgosię leczyć będziemy w Westfalii, w Klinice Uniwersyteckiej w Munster. Osobiście zajmuje się nią prof. Johann Vogt — kardiolog.

Ten znany w RFN specjalista spróbuje utrzymać serce dziecka przez zabieg nieoperacyjny. Chce w ten sposób uniknąć transplantacji, przy której wskaźnik ryzyka jest bardzo duży.

Kiedy żegnaliśmy Malgosię, zapłakana dziewczynka prosiła, żeby podziękować wszystkim ludziom, którzy przyczynili się do jej wyjazdu.

Niech Pani napisze, żeby się za mnie modlili... Tak się strasznie boję... I tak bardzo chcę żyć.

PS. Serdecznie dziękujemy przedstawicielom „Malubexu” za bezpłatne pośrednictwo w szybkim otrzymaniu wiz. Dziękujemy również zielonogórskiej Policji, za udostępnienie swego hotelu, również bezpłatnie, niemieckim gościom.

GRAZYNA WALKOWIAK

Antywywiad: O naszym teatrze...

ROZMAWIAJĄ — ZBIGNIEW MOSKAL — AKTOR TEATRU LUBUSKIEGO IM. L. KRUCZKOWSKIEGO W ZIELONEJ GÓRZE I CZESŁAW MARKIEWICZ

Z. M.: Czy czujesz się recenzentem?
C. M.: Nie ma w tym mieście recenzenta teatralnego (celowo nie używam zaklętego słowa „profesjonalista”). To, co ja piszę o teatrze nazwać można dziennikarskimi relacjami faceta, który lubi... literaturę. Bardziej odpowiada mi po prostu literacka teoria dramatu pani Kulczyckiej-Saloni. W związku z tym wolę sztukę czytać, niż je oglądać, wykoślawione przez pseudoreżyserów. Powtarzam, reżyserów! Bo nie ma — wg mnie — złych aktorów. Mądry reżyser, nawet z amatorami potrafi zrobić dobry spektakl.

Z. M.: Atakujesz w tej chwili mojego szefa?

C. M.: Między innymi. Tylko rozszerzmy to pytanie: szefa reżysera, czy szefa dyrektora?

Z. M.: Jedno jest pewne: wybraliśmy Janusza Kozłowskiego, żeby nam szefował i reżyserował nasze spektakle. Większość zespołu przyszła tylko z tego powodu.

C. M.: Z boku można to odebrać jako spekulację na zasadzie „towarzystwa wzajemnej adoracji”; lubimy się, mamy dobre samopoczucie, wszystko co robimy jest dobre — a każda krytyka jest niekompetentna, rozbiłacka itp., itd.

Z. M.: Nie wiem jak to wygląda z boku, jestem w środku.
C. M.: Ale akurat wasza praca, jak żadna inna, poddawana jest non-stop oglądowi zewnętrznemu. Nie grać dla siebie, tylko dla publiczności.

Z. M.: Zgadza się na krytykę, ale jak długo można pracować w atmosferze ogólnej niechęci, złości i rozbiłackich wykluwających się teżsamości zespołu. Poza tym stanowczo protestuję przeciwko nazywaniu nas gru-



Fot. T. Ambroź

ZBIGNIEW MOSKAL

pą wzajemnej adoracji. Potrafimy również patrzeć na swoją pracę krytycznie.

C. M.: Ale oburzacie się na każdą nieprzychylną reakcję. Jeśli znajdziecie receptę na robienie sztuk, o wielkich, ale nienadających sztucznie współczesnych przesłaniach, każdy piszący o was zawyje z zachwytu!

Z. M.: To nieprawda, że oburzamy się na krytykę. Oburzamy się na nieprzemyślane sądy. W Gorzowie — pracowałem tam pięć sezonów — pisano: „szkoda, że znowu się nie udało naszym teatrowi”. Tutaj, w Zielo-

nej Górze — to moje osobiste wrażenie — jakby cieszone się, że „znowu się nie udało”. Mój romowca — Czesław Markiewicz — w prywatnych rozmowach z aktorami, poniekąd kolegami, znajduje wiele plusów w ich pracy, czy w konkretnych przedstawieniach — i publicznie zachowuje się jak... prowincjonalny Stoniński. Drażni mnie to.

C. M.: Problem polega ciągle na tym samym. Powtórzę więc: prawie nigdy nie mam pretensji do aktorów. Chyba, że sepienią i wywracają się na scenie. Rzecz w braku jakiegokolwiek koncepcji teatru, pomysłu na ten konkretnie teatr, na to środowisko. Poza tym, nie oszukujmy się, recenzje nie mają aż tak wielkiego znaczenia. Publiczność wyraża swoje opinie „nogami”. A frekwencyjny koń jaki jest, każdy widzi.

Z. M.: Z publicznością bywa nie najlepiej w całej Polsce. Nie jest do dla mnie argument.

C. M.: Zgoda. Ale w „całej Polsce” bywało onegdaj nawet dobrze, tu w Zielonej Górze zawsze sala teatralna nicowana była pustką. Zbierzcie się do kupy i pomyślcie, już nie, jak zapelnąć salę, ale jak zostać zielonogórskimi aktorami, rozpoznawanymi na deptaku i obrzucanymi kwiatami po każdym spektaklu. A recenzentów (dwóch?) możecie nie poznawać na ulicy.

Z. M.: No właśnie! Każdy chce nas pouczyć, każdy ma gotowe koncepcje, recepty na nasz teatr. My też mamy pomysły i koncepcje np. na... „Gazetę Nową” czy „Radio-poranek”. I tak można by w nieskończoność. Mam wrażenie, że akurat nasz zespół przejął jakies odium, jakiś smród po poprzednikach i to się ciągnie, bez względu na to co i jak robimy. Tyle.

C. M.: Na pewno jest w tym sporo prawdy, ale coś trzeba w teatrze zrobić. Co? To już wasza sprawa.

Z. M.: Zgadza się, więc nam nie przeszkadzajcie.

ZBIGNIEW MOSKAL — sezon w Teatrze Lubuskim: Dudariew „Wysypisko” (Docent); A. Fredro „Brytan Bryś” (Borsuk, Brytan Brys); H. Mniskówna „Trędowata” (Michorowski); E. Stachura „Fabuła rasa” (On).



Woda w Zielonej Górze śmierdzi, a fachowcy z wodociągów bardzo biegli w pisaniu, mniej w czyśczeniu wody, nokautują swoich przeciwników rewelacyjnymi nowinkami techniki i technologii z Paryża i Berlina rodem, szokują wiedzą z najnowszej światowej literatury naukowo-technicznej. Są jedynym i niekwestionowanym autorytetem. Gdzie tu miejsce dla Jemenów z ukrytym tytułem naukowym, za starą i nieczytelną biblioleką. (Do szkoły pociąć, a nie pyszczyc na magistrów! Nieku!) I tak sobie myślę, czego w tym wodociągowym „raporcie o wodzie” („GN” z 31 maja br.) więcej: arogancji, braku wyobraźni, zdrowego rozsądku czy odpowiedzialności. Braku wiedzy i niekompetencji tej klasy specjalistom zarzucać nie wypada. A może to ośmienie „mamoną” — gra idzie o kwintowane miliony, ba setki milionów złotych, wypłacanych dla zdolnych wynalazców taniej technologii czyszczenia wody.

Nie ufam fachowcom i wyjaśnieniom z „raportu”, nie mam spazmami zmysłów smaku i zapachu, mam ogólnie rozpoznanie w czyszczeniu wody i dlatego wolałam o bezwzględne „bicie w dzwony”, proszę o ogłoszenie alarmu o zagrożeniach toksycznych i rakotwórczych dla mieszkańców Zielonej Góry. Apel ten kieruję w szczególności do zauroczonych z siecią wodociągowej wodą „prawdziwych” fachowców siedzących w specjalistycznych instytucjach, którzy wymownie milczą i nie mają ochoty włączyć się do spraw przypisanych im z urzędu.

Pan Jemen i inni noszący wodę do picia w naczynkach mają rację — zielonogórska woda uzdatniana siarczanem żelazowym z użyciem b. wysokiej dawki chloru posiada wyjątkowo odrażający smak i obydny zapach, a „siedzący” w instytucjach kontroli i nadzoru urzędniccy mogą przyczynić się do realnej groźby systematycznego podtruwania wody rakotwórczymi substancjami z wystąpieniem masowych zatrutych ludności włącznie.

Z „raportu o wodzie” powiało brzydkim zapachem, powiało grozą, dużo w nim przekłamanych informacji, pomylnych pojęć, niedomówień.

Spraw wody pitnej nie można odfajkować. Mieszkancom należy się wyjaśnienia odpowiedzialnych za produkcję i urzędowy nadzór nad zgodnością jej z obowiązującymi przepisami sanitarnymi. Dla jasności sprawy należy wyjaśnić kilka wątpliwości, o których niżej.

1. Siarczany żelazowe, o których mowa w „raporcie” nie posiadają atestu Państwowego Zakładu Higieny, nie są również dopuszczone do stosowania przez Głównego Inspektora Sanitarnego. Aktualnie wykazy urzędowe atestowanych materiałów do wody są udostępniane zainteresowanym w Stacjach Sanitarno-Epidemiologicznych. W odrocznieniu od „cywilizowanego świata” nie produkujemy siarczanów żelazowych, które mogą być stosowane w artykułach spożywczych. Produkowany przez Hutę im. Lenina siarczan zakwalifikowany przez PWiK do I gatunku o najwyższej czystości jest nieczłowiecznym produktem ubocznym otrzymywanym przy wytrawianiu blach kwasem siarkowym. Producent w informacji technicznej ostrzega, że skład chemiczny tych odpadów zależy od składu chemicznego trawionych blach i użytego kwasu. Panie Inspektorze Sanitarny, czy mam obrazowo opowiadać i straszyc ludzi, jak wyglądają zaoepszczone sanitarne procesy trawienia w hucie i jakiego rodzaju związków toksycznych i metali ciężkich szukac należy w używanym przez „T i u r c o w” paskudztwie Siarczan z Zakładów Chemicznych w Policach nie odpowiada nawet krajowej normie branżowej, nie jest to siarczan techniczny, są to odpady od lat gromadzone na śmieciisku chemikaliu (składowane tam odpady zrurowania środowiska, zaliczone je do b. wysokiej szkodliwości umieszczając na krajowej liście opublikowanej w „Rzeczpospolitej”). Producent tych odpadów nie ponosi odpowiedzialności za ich skład chemiczny, nie obowiązują ich normy sanitarne, prawne ani moralne, nie wystawiają świadectw zgodności produktu z obowiązującymi normami technicznymi. Jak tu pogodzić tego rodzaju odpady z rygorystycznymi wymogami dla produktów atestowanych do masowego spożycia. Jeżeli prawdą jest, że PZH wydał atest dla Zielonej Góry bez jego jawnej publikacji, to należy przyjąć zaproszenie PWiK do zapoznania się z wynikami badań tych siarczanów ze szczególnym zwróceniem uwagi, kto imiennie z tych niezależnych od wodociągów Instytucji i z jakich miejsc pobierał próbki do analiz, ile takowych prób wykonano dla wydania opinii o przydatności odpadów dla koagulacji wody pitnej. Z informacji PWiK wynika, że kompleksowe badania własne, zlecane i uzupełniające łącznie z wydaniem atestu załatwiono w dwa miesiące. Znając tryb i terminy postępowania

przed instytucją, w której drobniakowo analizuje się nawet sprawę zmiany barwnika pomadki do ust, szkoluje superekspresowe atestowanie przez PZH odpadów do wody wypijanej przez Zielonogórzan. Dobry temat dla dociekliwego dziennikarza. Do roboty Panie Jemen!

2. Może gdzieś tam w Berlinie czy Paryżu i innym cywilizowanym świecie stosują siarczany żelazowe w procesach koagulacji wody. Szanowni wodociągownicy! Stosujcie je, z tym jednak zastrzeżeniem, że używać należy produktu na który producent, a nie użytkownik, posiada atest sanitarny, za jakość którego dostawca ponosi pełną moralną i prawną odpowiedzialność, a jego dawkowanie powierzono odpowiedzialnej obsłudze i nadzorowi technologicznemu. A ja nie ufam fachowcom samozwańcom!

3. Węgiel aktywny Carbol z-4 używam z powodzeniem od trzech lat mimo znacznych ilości chloru w zielonogórskiej wodzie. Produkowany on jest w dużych ilościach w Raciborzu, został dokładnie zbadywany w wieloletniej eksploatacji i dopuszczony do oczyszczania wody pitnej atestem sanitarnym. Specjaliści z zielonogórskich wodociągów kwestionują węgiel dobry, zalecają stosowanie węgla z Hajnowki lub z zachodu za dolary, ponieważ ja mileżeniem sprawy istotnej — kto opracował i projektował technologię z „Carbolem z-4”, dlaczego wykonano bez sprzeciwu ze strony użytkownika drogocenne filtry węglowe ze złej jakości węgla? Po czterech miesiącach zgodnie z oczekiwaniami fachowców z PWiK spisyje się na straty 120 ton węgla o wartości 800—1000 dolarów za jedną tonę. Kto za ten „numer” zapłaci? Ja protestuję, nie chcę dopłacać do wody produkowanej przez takich „fachowców”.

4. Kolej na pytania. Jak mogło dojść do spożycia przez mieszkańców miasta wody mieszanej z odpadami w okresie poprzedzającym wydanie wątpliwego atestu z datą 29 stycznia 1980 r.? Kto i kiedy wydał PWiK zgodę na stosowanie zmiennej technologii? Czym w naszym mieście zajmuje się Rejonowy i Wojewódzki Inspektor Sanitarny? Komu służy Wojewódzki Ośrodek Badań i Kontroli Środowiska? Panie Prezydencie, co Pan zamierza zrobić z tymi „siedzącymi” fachowcami?

I jeszcze jedno — jak to faktycznie jest z tymi milionami nagród za rewelacyjnie tanie technologie i co wspólnego ma z tym Pan Premier Mazowiecki?

(Nazwisko i adres znane redakcji)



LUBUSKIE LATO
FILMOWE

Łagów

Dodatek festiwalowy (2)

Personalia

Lubuskie Lato Filmowe to twórcza inicjatywa... Klubu Kultury Filmowej. Kto jest kim w Łagowie?

ANDRZEJ KAWALA (szef) — stolarz, właściciel „lady” 1200 wersja kolonia.

JERZY NOWAK — kupiec (sklepiarz), bracia obywatela, właściciel mercedesa 204 (towarowo-osobowy).

ANDRZEJ WORONOWICZ — przewoźnik (osobowe: do BZ-tu), właściciel volkswagena busa.

ANDRZEJ MILCZARKIEWICZ — agent PZU (akwizytor?), **NIE MA SAMOCHODU**, będzie miał „zero”, albo uno — ale nie zależy to od jego decyzji, zdecydował... rząd.

ANDRZEJ WERNER — krytyk (gwiazda telewizyjna) — w wolnych chwilach pracownik Instytutu Badań Literackich. „Właściciel” dłu gotowego syna... dyskutanta.

JAN WALC — krytyk, harcownik, chodzi w sandałach bez skarpet, przedstawia się jako właściciel mercedesa... nowej generacji.

Okazja

Specjalnie na LLF warszawska firma ITI uruchomiła sklepik firmowy „Kurza Stopka”. Tylko w Łagowie można kupić kasety video z hitami typu „Zabójcza broń”, „Egzorcysta”, „Akademia policyjna”, czy „Elita zabójców”. Są też filmy z pogranicza i artystyczne („Casablanca”). Firma oferuje promocyjnie ceny z licencją do wypożyczenia; niestety nie będzie w Łagowie pokazów publicznych, firma nie ma specjalnego zezwolenia. Ale na co dzień współpracuje z renomowanymi wytwórniami Columbia, Warner Brothers itp. Ścisłe współpracują z Klubem Kultury Filmowej. Chcą uruchomić w Zielonej Górze filię ze sprzedażą sprzętu audio-video, z serwisem Hitachi.

ITI promuje polskie filmy na Zachodzie; repertuar... polonijny: „Strachy”, „Tenis z Wojtkiem Fibakiem”, „Jan Pietrzak”, „Hero of the Year” („Bohater roku”), „I like Bats” („Lubię nietoperze”), „The career of Nikodem Dyżma” („Kariera Nikodema Dyżmy”) itd. Tylko w Łagowie ITI udziela 12 proc. rabatu. Ceny kaset od 176 do 250 tys. zł. Przy zakupie dziesięciu i więcej kaset firma udziela 10 proc. rabatu.

ITI — tylko w Łagowie!

FILM POLSKI na zakręcie

RAFAL MARSZAŁEK

Opustoszałe albo po prostu zamykane kina, inwazja obcych filmów z nieśmiertelnej serii „zabili go i uciekli”, rozpaczliwe próby dotarcia polskich filmów do publiczności poza siecią oficjalnego rozpowszechniania, system finansowania i dystrybucji poddawany nowej reformie, nade wszystko zaś dojmujący brak pieniędzy. Chciałoby się powiedzieć: krajobraz po bitwie. Nie było jednak żadnej bitwy o polską kinematografię. Jest zmiana o globalnym charakterze i zasięgu. Rzeczy filmowe podlegają jej na równi z innymi dobrami kultury i są podobnie zagrożone.

Widoczny jest brak przygotowania do nowej sytuacji. Środowisko filmowe, które na początku lat osiemdziesiątych, w dobie solidarnościowego naporu entuzjastycznie obiecywało (sobie i państwu) samowystarczalność kinematografii, teraz nagle przypomina (sobie i państwu), że kultura jest i musi być dotowana. Zaś wioślarze z rządowej, Balcerowiczowej łódki, jak na twardych matrosów przystało, powtarzają, że gwoździe i dzieła sztuki to jedno i to samo. Na próżno w czasie parlamentarnej debaty któryś z twórców wytyka ministrowi finansów; że głośniczek tak skrajnego poglądu, gdyby się znalazł w XIX wieku, nie przetrwałby do naszych dni z rodzimym językiem i macierzystymi książkami. Realia są surowe. Doświadczenie uczy, że trzeba będzie z nimi zarówno borykać się, jak i do nich się przyzwyczajać.

Mizéria finansowa i reorganizacja systemu skłaniają administrację państwową do usilniejszych niż dotychczas powiązań z utrwaloną już gdzieś indziej tradycją. Dwuznaczne opiekunstwo realnego socjalizmu nad filmem było przeciw wyjątkiem w skali światowej.

Zycie filmowe w innych krajach rozwija się mimo braku centralnego programowania i finansowania; niektórzy twierdzą, że właśnie dlatego. Przy wszystkich niedomogach Polski przedwojennej, nawet ówczesna rodzima twórczość — rachityczna i efemeryczna — dawała się przecież oglądać i sprzedawać i to w warunkach połącznej konkurencji zagranicznej. Właściwa organizacja systemu celnopodatkowego tak, aby ułatwić eksploatację polskich filmów na gruncie rodzimym, rzeczywista, a nie tylko biurokratyczno-fasadowa jak dotąd propaganda polskiej twórczości za granicą, przemyślana struktura funduszu filmowego od kilkudziesięciu lat z różnymi modyfikacjami lokalnymi praktykowanego w krajach zachodniej i środkowej Europy — to są wszystko aktualne impulsy dla działań filmowego centrum.

Z drugiej strony narzuca się potrzeba spontanicznej aktywności lokalnej. Jutrzejsi „kinniarze” będą musieli odstąpić od rutyny urozmaicając nie tyle treść, ile praktykę dystrybucji. Dyskusyjne kluby filmowe powinny wyeksponować otwarcie granic, obalenie administracyjno-policyjnych barier. Już nie tylko entuzjaści z metropolii, ale fanatycy filmowi z innych miast mogą kontaktować się bezpośrednio z zagranicznymi ośrodkami kultury, przedstawicielstwami dyplomatycznymi, konkretnymi dystrybutorami wreszcie. *Otwórzmy oczy: od wielu lat nie było już w Polsce tak ułatwionego i hojnego dostępu do ciekawych filmów. Są imprezy o ustalonej marce. Lubuskie Lato Filmowe w Łagowie do nich należy — które popularyzują filmową kulturę. Powstają nowe samorządy i organizacje lokalne, którym wprawdzie brak pieniędzy na uprawę filmowego ogrodu róż, ale które nie mogą filmu — tej najdostępniejszej z muz — wykarczować z krajobrazu.*

Wbrew rozpowszechnionemu pogładowi mam też nadzieję, że postawy twórców prawdziwie zindywidualizują się. To prawda, że na ostrym zakręcie pojazdowi grozi poślizg; nie znaczy to jednak, że musimy z całym bagażem ugrzęznąć w rowie komercjalizacji. Po pierwsze, upada fetysz masowej, jednorodnej widowni, o której względy zabiegają jednak równocześnie, wszyscy reżyserzy. Takiej widowni nie ma. Z sondaży popularnych wynika jedynie, że „wielu ludzi woli patrzeć na byle co, niż nie oglądać nic”. Szczególnie dzisiaj, gdy stoimy na progu kompletowania domowych filmotek, zaznacza się prymat indywidualnego gustu i wyboru. *Twórca musi szukać swojej publiczności, tak jak my w prywatnej rozmowie zwracamy się do pewnego rozmówcy, a nie do tłumy na targowisku.* Treść tej rozmowy może być wysublimowana, gdy opowiadaczem jest Bergman; może też być ekscytująca, choć blaha, jak wtedy gdy do głosu dochodzi Stallone. Żaden z nich nie dociera do wszystkich; kontaktuje na swój sposób tylko z niektórymi widzami. Publiczność Zennussiego rozmią się z adresami filmów Machulskiego czy Bromskiego; w obrębie taw. kina artystycznego Wajda dociera do innych stref wrażliwości niż np. Stanisław Różewicz. Coś za coś: powszechne „ogładactwo” przesunie się z kina ku telewizji, a reżyserzy filmowi spotkają się jutro z mniejszą niż wczoraj widownią. To będzie jednak ich autorskie kino i bezwzględnie ich publiczność. Rzecz mobilizująca raczej, niż deprymująca.

Po drugie, twórczość filmowa uwolni się od balastu zadań państwowo zleconych, od różnych tematów „na kartki”. Dotychczas mecenas państwowy ustalał najprzeróżniejsze limity — ideologiczne, polityczne, gatunkowe, tematyczne nawet. To się skończyło, mimo, że niektórzy o tym nie wiedzą. Dzisiejsze próby opowiadania o gazetowo „ważnych” problemach społecznych albo poczytywych kronik historycznych są skazane na niepowodzenie. *Zaletą filmowego wolnego rynku jest autentyzm wypowiedzi. Propozycję dramatów i komedii utrwalił rzeczywistość, a nie zarządził mecenas.*

Po trzecie, ryzyko osobiste znacznie konkurować z konformizmem grupy. Przez długie lata wychylaliśmy się ku zbiorowemu (żeby nie powiedzieć: stadnym) przejawom walki o film polski. Zwykle to był jakiś awangardowy manifest, albo heroiczny program: przed wojną „Start!”, w latach pięćdziesiątych „szkoła polska”, potem „trzecie kino”, wreszcie „kino moralnego niepokoju”. Z perspektywy czasu widzimy, że w bohaterskim hufcu szli bardzo różni ludzie, że o nowości decydowały różne artystyczne temperamenty. Dziś ta świadomość wyodrzy się. Dla krytyków i historyków kina istotne są prądy, szkoły i kierunki; dla widza liczy się spotkanie filmowe z konkretnym człowiekiem.

Kinematografia Europy Środkowej i Wschodniej – Punkt Zero

— tak brzmi temat dwudniowego seminarium Stowarzyszenia Filmowców Polskich, które rozpoczyna się we czwartek (28.06. o godzinie 16) w Sali Rycerskiej łagowskiego Zamku.

W ostatnim numerze miesięcznika KINO (5-1990) Bolesław Michalek szkicuje panoramę, a na jej tle cechy wspólne kina nowego politycznego kontynentu: Europy Środkowej. „Susan Sontag pisała niedawno, co ją pociąga w europejskiej kulturze: „Różnorodność, powaga, wymyślność, gęstość kultury europejskiej tworzy archimedesowy punkt oparcia, z którego mogą — w myśli — poruszyć świat”. Czyż właśnie tych cech nie znajdujemy w szczególnym zgęszczeniu w kinie Europy Środkowej? To jest przecież kino pełne po wagi, niekiedy aż do przesyty, tak że wdychamy potajemnie do tematów i ujęć lżejszych, to jest kino różnorodne (proszę porównać na przykład Wajdę i Formana); to jest kino wymyślne (Has, Makavejev, Jancsó!) — aż do granic pretensjonalności!

To, co jest siłą i oryginalnością tego kina stwarza też pewną pułapkę. Taką pułapką jest na przykład zbyt natłoczone poszukiwanie odrębności zewnętrznej, folklorystycznej a nie duchowej. Tu pojawia się groźba prowincjonalizmu”.

I na koniec Michalek, mając na myśli kino nowego kontynentu Europy Środkowej, pyta: „Może to jest właśnie kino europejskie?” Taką tezę, nie zweryfikowaną oglądem z różnych perspektyw europejskich może wpędzić łagowskich dyskutantów w pułapkę „dobrego samopoczucia” — oto Europa to My!

Anonimowy autor wstępu do programu LFF Łagów '90 (czyżby Andrzej Werner — szef programowy imprezy?) podaje jeszcze jeden trop myślowy:

„Nie wylewajmy z kąpielą, nie wiem czy dziecka, ale w każdym razie potężnego kapi tału doświadczeń. Zmagania polityczne (w kulturze), w które wielu z nas było uwikłanych, były myślowo atrakcyjne zwłaszcza wtedy, kiedy zwracały się nie tyle przeciw konkretnej a dotkliwie niesprawiedliwej władzy, ile przeciw systemowi, który jest zjawiskiem o wiele szerszym i przyniósł z sobą straszliwe zbrodnie, stając się najważniejszym faktem w historii europejskiej XX wieku. Mamy za sobą doświadczenia dwóch totalitaryzmów: nazistowskiego i komunistycznego. Nauczyliśmy się wiązać te zjawiska ze sobą, tropić tajemne, często ukryte przed innymi nici, wątki myślowe, ideowe, które wzmagają totalitarne zagrożenie. Są z nimi w niebezpiecznym sojuszu. Nauczyliśmy się cenić wartości, bo żyliśmy — jak nasi ojcowie i pradziadkowie — w świecie, który nieustannie te wartości gwałcił. (...) Pamiętajmy, że to wszystko jest wianem, najważniejszym wianem, które możemy dziś wnieść do Europy. Dzięki tym doświadczeniom możemy dziś być atrakcyjni kulturalnie Europejczykami. Europę niewiele dziś obchodzi stara europejska tradycja naszej kultury. Ma ona swoją tradycję. Nie będzie też podziwiała naszych bliźni i wybitnych zębów. Zastanowi się co najwyżej, nad wnioskami, które z tych opresji potrafiliśmy wyciągnąć. Ale tym bardziej znuży ją śmierć nie nasze uparte, pożałuj się Boże, równanie do standardów zachodniej masowej kultury.

W Łagowie gościmy dziś Czechów i Słowaków, Rosjan i Litwinów, Brytyjczyków. Duńców i Niemców, są Węgrzy. W tak międzynarodowym towarzystwie ryzyko popadnięcia w pułapkę dobrego samopoczucia jest mniejsze.

(ks)

z krzyżem maltańskim w herbie

ŁAGÓW LUBUSKI

Białe krzyż o ośmiu rogach, zwany także krzyżem enoty, oznaczał w symbolice średniowiecznej osiem cnót rycerskich. Po dzień dzisiejszy zachowany jest na wielu budowach sakralnych i świeckich Dolnego Śląska, Ziemi Lubuskiej i Pomorza Zachodniego. Od połowy 14 wieku białe ośmioramienny krzyż — godło zakonu joanitów — związany jest z dziejami lubuskiego Łagowa. W roku 1808 miasteczko przyjęło joanicki znak jako swój herb. I tak pozostało do dziś.

W zasadzie rozgłos swój Łagów zawdzięcza joanitom. Kiedy w roku 1374 stał się siedzibą komandorii, w obrębie murów mieściło się zaledwie kilkanaście domów, a liczba mieszkańców nie przekraczała setki. Wkrótce wyrosły na przesmyku między dwoma jeziorami mury dumnego zamku — siedziby joanickich komturów.

Rycerze św. Jana Chrzciciela przybyli na tę ziemię z Palestyny, gdzie bronili chrześcijańskie Królestwo Jerozolimskie przed atakami Turków. Po upadku Jerozolimy rycerze w czarnych płaszczach z białym krzyżem po lewej stronie przeniesli się na Cypr, potem na wyspę Rodos, aby w końcu osiedlić się na Malcie. W międzyczasie liczne ich zastępy zaczęły pojawiać się w wielu krajach europejskich. Do Polski przybyli w połowie 12 stulecia za sprawą księcia Henryka Sandomierskiego.

Na Ziemię Lubuską sprowadził ich możnowładca śląski, Mroczek z Pogorzeli, cijańskiej Królestwo Jerozolimskie przed bra ich sięgali od Słońca po Sulęcín, Torzym i Łagów, obejmując tysiące hektarów lasu, pół uprawnych, dziesiątki wsi i setki dusz. W majątnościach swoich trwali do początku 19 wieku. W roku 1810 zakon uległ kasacji, a dobra przejął skarb pruski. Jednakże już dwa lata później odrodził się jako „brandenburski” zakon joanitów, nie mający nic wspólnego z restytuowanym w Rzymie katolickim zakonem rycerzy maltańskich. Siedzibą władz tego „odrodzonego” zakonu stał się Słońsk. Łagów przeszedł drogą kupna najpierw w posiadanie rodziny von Waldow, a następnie starego saskiego rodu von Wurmb, który majątność łagowska dzierżył do połowy lat dwudziestych naszego stulecia. Na mocy ustawy o wywłaszczeniu majątków rycerskich z 1227 roku dobra ziemskie Wurmbów przejęte zostały przez skarb państwa i w kolejnych latach rozparcelowane. Miasteczko po raz pierwszy w swojej długoletniej historii otrzymało własny samorząd.

Łagów jest jedną z najlepiej zachowanych siedzib komturów joanickich w tej części Europy. Malowniczo położony pomiędzy dwoma jeziorami, otoczony pokrytymi starymi bukami wzgórzami, schodzącymi wprost do wód jeziora, pojawia się w dokumencie już w roku 1299 jako gród warowny rodziny Klepiczów. Po wybudowaniu zamku wyrosła

na podgrodzium jednoculicowa osada rzemieślnicza, zamknięta murem i dwoma bramami — Marchijską od zachodu i Polską od południa. Tędy, na południe, wiodł trakt do Polski. Przez Bramę Polską, szlakiem na południe, szły z łagowskiego zamku nie tylko misje pokojowe. Dochodziło do poważnych zatargów z kasztelaniami międzyrzeczą. Przedmiotem sporu były polskie wsie Boryszyn, Zarzyn i Wielowieś. Joanicy wielokrotnie przekraczali granicę uprawiając najnormalniejszy rozbój. Za popełnione na granicy gwałty rządzący w Łagowie w latach 1514—1542 komtur von Thuemen wezwany został przed sąd papieski i skazany na duże odszkodowanie na rzecz korony polskiej.

Sredniowieczny układ miasteczka, z bramami i fragmentami murów, z monumentalną bryłą zamku, zachował się niemal w niezmienionej postaci do dziś.

Komturia łagowska ulegała wielokrotnej przebudowie. Najpoważniejsza z nich miała miejsce w drugiej połowie 17 wieku. Na polecenie prowincjała zakonu, księcia Maurycego de Nassau, holenderski architekt, Pietra Posta, dokonał przebudowy zamku, nadając mu wystrój barokowy. Tylko wieża i sklepiona sala na parterze są jedynymi pozostałościami gotyckiej, średniowiecznej warowni.

Łagów był niegdyś miastem. Wprawdzie nie dane mu było cieszyć się pełnią swobód magdeburckich praw, nigdy mu takich nie dano, otrzymał natomiast na mocy pruskiej ustawy o miastach z 1808 roku status osady miejskiej. Wyjątkowo piękne położenie, wybitne walory klimatyczne i występowanie wód leczniczych spowodowało, że poważnie rozważano w latach pięćdziesiątych 19 stulecia podniesienie Łagowa do rangi uzdrowiska. Idea przekształcenia miasteczka w Bad Lagow (Łagów Zdrój) nie wyszła nigdy poza sferę pobożnych życzeń. Do tego projektu wróciła na początku lat dwudziestych ostatnia właścicielka Łagowa Maria von Wurmb. Ale i jej starania u władz niemieckich nie przyniosły efektu.

Atuty stania się kurortem są bezsporne. W tamtych latach nie wyszło. Potem nastąpiła wojna. Niewiele po niej śladów zostało. I tylko jak przed setkami lat dumny kasztel przygląda się w nie najczystszych już wodach jeziora, kryjąc w swoim cieniu senne bytowanie miasteczka, mającego krzyż maltański w herbie.

JERZY PIOTR MAJCHRZAK



Centrum LLF

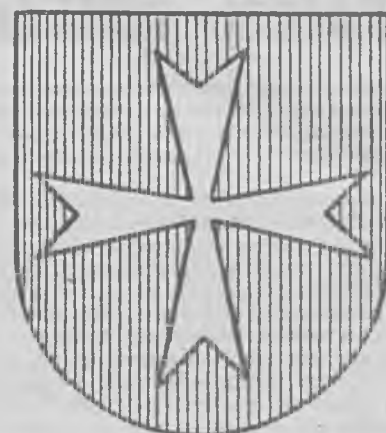
Fot. Kru-Kru



Gość LLF — Maciej Dejezer



Gość LLF — Radosław Piwowarski



XIX w.

Łagów

Charakterystyczny krzyż widniejący w herbie Łagowa jednoznacznie wskazuje, komu dawne miasto zawdzięcza swój herb. Krzyż taki nazywany maltańskim, rzadziej joannickim był znakiem zakonu rycerskiego św. Jana.

Zakon joanitów utworzony w 1048 roku w Jerozolimie dla ochrony pielgrzymów i kupców, po zajęciu Jerozolimy przez Turków przeniósł swoją siedzibę na Cypr, a w 1522 r. na Maltę (stąd nazwa krzyża).

Zakon joanitów utworzony w 1048 roku w stezkiem został kupiony przez joanitów w połowie XIV w. Wkrótce po nabyciu zostaje Łagów siedzibą komandorii joannickiej, a na przebudowanym zamku urzędują kolejni komturowie zarządzający dobrami ziemskimi wędrownymi w skład komandorii. Od 1375 roku, kiedy pierwszym komturem został Henryk von Wedel, do 1800 roku komandorią zarządzało 25 kolejnych komturów. Zgodnie z przyjętym zwyczajem pełniący swoje funkcje komturowie używali na pieczęciach nie wizerunku krzyża maltańskiego, lecz swojego herbu rodzowego, dodając do niego wizerunek krzyża jako znaku przynależności zakonnej.

Komandoria łagowska wchodziła w skład większej jednostki organizacyjnej zakonu — baliwatu — z siedzibą w Słońsku, nazywanego też baliwatem brandenburskim. Baliwat ten posiadał swój własny herb, w którego polu obok charakterystycznego krzyża widniał wizerunek złotego orła. Od 1715 r. król pruski Fryderyk II Wielki zezwolił na umieszczenie korony królewskiej nad znakiem zakonu.

W XIX wieku baliwat brandenburski był dwukrotnie reorganizowany przez królów pruskich. W 1852 roku przyjęto zasadę, iż mistrzem zakonu w Królestwie Pruskim będzie zawsze książę z rodu królewskiego.

Choć sam Łagów powstał o wiele wcześniej, to jego herb pochodzi z pierwszej połowy XVIII wieku, gdy miejscowość otrzymała ograniczone prawa miejskie. Ostateczne ustalenie herbu miejskiego nastąpiło po 1808 roku, gdy Łagów uzyskał pełne prawa miejskie. W zachowanych XIX-wiecznych wizerunkach łagowskiego herbu zwraca uwagę, umieszczenie srebrnego (białego) krzyża maltańskiego na czerwonej tarczy z tzw. ornamentem damasceńskim, bardzo rzadko występującym w herbach miejskich.

WOJCIECH STRYZEWSKI

Burmistrz być musi!

LUCYNA MAŁACHOWSKA-GRABOWSKA

Po dwóch godzinach ostrej walki o fotel burmistrza rada gminna w Świebodzinie stanęła w obliczu kryzysu. Dwa kolejne głosowania nie przyniosły rozstrzygnięcia. Niewiele brakowało, by sesja zakończyła się fiaskiem.

Na wstępie przewodniczący Eugeniusz Pichan powiedział, że wybory burmistrza budzą w mieście emocje. Burmistrz musi być osobą akceptowaną, popularną. Już dziś wiadomo, że będzie wykonywał decyzje rady, które, niestety, popularne nie będą. I dlatego E. Pichan prosił radnych o przemyślaną wyбір.

Zgłoszono dwóch kandydatów. Klub radnych KW „S” zaproponował Jerzego Szczepaniaka — lekarza ZOZ-u, klub radnych KO wysunął kandydaturę Zdzisława Janczury — specjalisty budowlanego.

Kilka dni przed sesją radni spotkali się w celu wstępnego przedstawienia ewentualnych kandydatów. Tak uzgodniono na poprzedniej sesji. Szczegółowo omawiano trzy propozycje. Wśród tej trójki nie było Jerzego Szczepaniaka. Wystawienie jego kandydatury podczas sesji, radni z klubu KO uznali za nieoczekiwaną voltę ze strony Klubu Wyborczego „Solidarność”.

Jerzy Szczepaniak jest radnym, ma 42 lata, jest internistą. Po studiach medycznych pracował kolejno w lecznictwie odwykowym, w ZOZ-ie w Nowym Tomyślu, w lecznictwie przemysłowym w Świebodzinie. Z powodu konfliktu z dyrektorem ZOZ przeniósł się do pracy w Międzyrzeczu, był lekarzem na statku, wreszcie po zmianie dyrekcji ZOZ wrócił do Świebodzina. Do 1980 roku był w PZPR. Określa się jako socjaldemokrata typu zachodniego. Zna dobrze różne środowiska w mieście. Orientuje się w niedostatkach gnębiących społeczeństwo.

Na pytania radnego R. Gwizda (klub KO): czy kierował zespółami ludzkimi i co ma zamiar zrobić dla miasta, J. Szczepaniak odpowiedział: chcę we współpracy ze wszystkimi przeprowadzić szeroko zakrojone reformy gospodarcze, zapewnić bezpieczeństwo osobiste obywatelom, zająć się zaniedbanymi dziedzinami — oświatą i zdrowiem, ekologią, poprawą wyglądu miasta. Będę dążył do tworzenia nowych miejsc pracy, aby zapobiec bezrobociu.

Jaki miał kontakt z gospodarką i budżetem, poza budżetem domowym oczywiście? Co zdecydowało, że nagle (kilka dni temu nie starował) ubiega się o funkcję burmistrza? Jak widzi problem mieszkaniowy?

Jerzy Szczepaniak uważa, że burmistrz nie musi znać się na wszystkim. Nie rządzi sam, ma ograniczone uprawnienia. Kandyduje, bo nie chce zawieść swych wyborców. W sytuacji walki politycznej zgodził się na propozycje swojego klubu.

O jaką walkę polityczną panu chodzi? (R. Gwizd).

O walkę konstruktywną na argumenty.

Ale ja nie widzę partii...

Partii nie ma, ale jest ruch społeczny związany z „Solidarnością”. Optuję w stronę centrum.

Gość sesji, ks. dziekan Benedykt Pacyga skrytykował treść i sposób zadawania pytań, określając je jako nierealne i nielogiczne. Z wyjaśnieniem pospieszył radny Ziolkowski (klub KO): nie mamy złych intencji. Jeszcze ostrzejsze pytania zadawaliśmy trzem kandydatom na spotkaniu w sobotę, chcąc poznać

ich i ich reakcje. Wyłoniliśmy jednego. Podana dziś kandydatura J. Szczepaniaka zaskoczyła nas.

Inni radni z klubu KO wyrazili takie mniej więcej opinie. J. Szczepaniak nie orientuje się w sprawach miasta. Dla burmistrza nie ma trudnych pytań. Wreszcie zapytali wprost, czy J. Szczepaniak czuje się na siłach pełnić tę funkcję.

W obronie racji J. Szczepaniaka stanął radny Grzegorzewski (klub KW „S”), nie zgadzając się z zarzutami, że kandydat nie zna się na ekonomii. Lepiej być zupełnie świeżym, niż znać ekonomię taką, jaka była dotychczas. Lepiej nie mieć doświadczeń, niż złe nawyki.

Drugi kandydat Zdzisław Janczura stanął, jak można było przewidywać, w ogólniu pytań ze strony klubu KW „S”.

Radny Czepukowicz: zebrałem opinie w mieście. Usłyszałem, że jest pan wykształcony, inteligentny, ale istnieje obawa, że nie będzie pan dobrym burmistrzem, bo nie działał pan w interesie przedsiębiorstw, którymi pan kierował. Jakie kroki podejmie pan, by przysporzyć miastu dochodów, w jaki sposób przystąpi pan do prywatyzacji?

Zdzisław Janczura: nie wiem, skąd się wzięły opinie, że nie dla miasta nie zrobiłem. W sobotę mówiłem o swojej działalności gospodarczej. Cały czas, zdrowie, inwencją poświęciłem budownictwu. Aby wzbogacić kasę miejską, trzeba przede wszystkim zredukować koszty obciążające budżet, zrobić porządek w przedsiębiorstwach, obciążyć administrację, przeorganizować ją.

Do pozyskiwania pieniędzy dla miasta Z. Janczura chce wciągnąć całe społeczeństwo. Bezrobocie jest normalnym objawem w zdrowym społeczeństwie, wyzwała szacunek do pracy, ale nie może być nagminne. Dlatego sferę produkcyjną trzeba nie redukować, jak to właśnie obserwujemy, lecz utrzymać i zwiększyć produkcję. Nadwyżkę siły roboczej można zatrudnić przez tworzenie małych zakładów usługowych i wytwórczych.

Radnego Czepukowicza nie zadowolili ten program. Uznał, że kandydat odpowiada na okrągło.

T. Grzegorzewski powiedział wprost: przez kilkadziesiąt lat należał pan do establishmentu, piastował nomenklaturowe stanowiska. Ma pan opinię człowieka despotycznego. Czy potrafi pan przestawić się na nowe zasady? Rządźcie będziemy my, a pan będzie wykonywał.

Nie byłem człowiekiem nomenklatury. Nigdy nie należałem do żadnej organizacji, poza gospodarczymi — odpowiedział Z. Janczura. Nie mogę przyjąć zarzutu despotyzmu, chyba, że szanowny radny uważa, że stanowzenie jest tym samym, co despotyzm. Jeśli mnie wybierze, będę stanowczy nadal.

W tym miejscu zgłoszono wniosek, by zakończyć dyskusję nad kandydatami. Tak też się stało i rada przystąpiła do głosowania. Wynik nie przyniósł rozstrzygnięcia. Obaj kandydaci dostali po 13 głosów. 2 radnych głosowało bez wskazania.

Wynik „pół na pół” będzie chyba zmorem świebodzińskiej rady. Tak było nie raz podczas pierwszej sesji. Na 28 radnych 12 głosów ma klub KO, 10 głosów klub KW „S”, 6 radni określani jako niezależni.

W głosowaniu nad 5-minutową przerwą, na zastanowienie, 14 radnych (w tym cały klub KW „S”) było „za”. 14 pozostałych (w tym cały klub KO) wstrzymało się.

po przerwie przewodniczący zapytał: czy zgłaszamy nowych kandydatów, czy prześluchujemy jeszcze raz. Rada postanowiła przystąpić do ponownego wyboru. Drugi protokół komisji skrutacyjnej brzmiał: oddano 28 ważnych głosów. 1 głos bez wskazania, 14 za Z. Janczurą, 13 za J. Szczepaniakiem. Wybory znowu nie przyniosły rozstrzygnięcia, bo żaden z kandydatów nie otrzymał 50 procent plus jeden głosów.

Co robić? Radny Gwizd proponuje, by Z. Janczura przedstawił się, gdyż podczas wstępnych przesłuchań w sobotę nie wszyscy radni byli obecni, a szkoda, bo ten kandydat bardzo ładnie się tam zaprezentował.

Zdzisław Janczura urodził się w Wilnie, ma 54 lata, od 1945 roku mieszka w Świebodzinie. Po studiach budowlanych w Politechnice Szczecińskiej pracował w Międzyrzeczkim Przedsiębiorstwie Budowlanym (kierownik grupy robót, zastępca dyrektora d.s. technicznych, dyrektor naczelny), był dyrektorem „Polsportu” w Z. Górze, skąd musiał odejść, gdyż nie chciał przystać na układy. W 1979 r. został szefem inwestycji Zakładów Drobiarskich w Świebodzinie. Ma udział w rozwoju miasta, w budowie osiedli mieszkaniowych, szkół na wsi.

Pytania czy funkcja burmistrza interesuje p. Janczurę ze względu na prestiż? Kogo widzi jako wiceburmistrza? Czy satysfakcjonowałaby go funkcja wiceburmistrza?

Opinie: Ma pan braki, bo nie działał pan społecznie, lecz jako konkretny fachowiec na różnych stanowiskach.

Odpowiedź: Nie chodzi mi o prestiż, bo miałem go dość. Chciałbym dużo zrobić dla miasta, a miasto ma poważne braki inwestycyjne. Czy widzę się w roli zastępcy? To zależy, kto byłby burmistrzem. W tej sytuacji pytanie jest poniżej pasa. W roli wiceburmistrza widziałbym kogoś, kto zna się na rolnictwie i jest dobrze widziany w środowisku wiejskim. Ale nikogo na oku nie mam.

W tym momencie postanowiono głosować po raz trzeci i ostatni. Jeśli wybory nie przyniosą rezultatu, burmistrza radni będą wybierać na następnej sesji.

Przed odczytaniem trzeciego protokołu komisji skrutacyjnej coś zaszeleściło. Sekretarka dyskretnie wniosła kwiaty w celofanie. Radni odetchnęli. To znak, że burmistrz jest wybrany.

Zdzisław Janczura otrzymał 17 głosów, Jerzy Szczepaniak 11.

Pierwszy wybrany demokratycznie burmistrz Świebodzina Zdzisław Janczura po oklaskach i gratulacjach zapewnił, że wszystkie siły poświęci na to, żeby miasto było ładne, że postara się przywrócić intencje G. Antonowicza, który dbał o Świebodzin. Będzie troszczył się o wście, o drogi, kanalizację, wodę, gaz. Burmistrz zaprosił do współpracy całe społeczeństwo gminy.

SPORT

bez...wizji

ZAPIS DYSKUSJI Z SEJMIKU ZIELONOGÓRSKICH DZIAŁACZY

MARIAN RZEŹNIEWSKI (prezes Wojewódzkiej Federacji Sportu w Zielonej Górze): Idea sejmików sportowych jest w polskich realiach czymś nowym. Nie zatem... dyskusji przypominało jako żywo szlacheckie sejmikowanie w staropolskim wydaniu. Zachęcam do dyskusji konstruktywnej, bez elementów wspominkowych.

RYSZARD GRZEGORZ MADRY (radny miejski, wiceprezes WFS): Uczestniczyłem w wojewódzkim i ogólnopolskim sejmiku trenerskim, a także w forum zielonogórskich nauczycieli wychowania fizycznego. Trenerskie wizje przyszłości polskiego sportu były nawet dość ciekawe. Gdy doszło jednak do wybierania delegatów na kongres kultury zdrowotnej i sportu, wyszły na wierzch układy i układy. Myślę tu o ogólnopolskim kongresie szkoleniowców. Niestety, zdominowały go rozgrywki personalne. Przygnębiony wyszedłem również ze spotkania zielonogórskich nauczycieli wychowania fizycznego. Mówiło się na tym forum przede wszystkim o treningu, szkolnych klubach sportowych itp. Tak jakby spotkali się trenerzy, a nie nauczyciele. To jakieś totalne nieporozumienie. I jeszcze jeden problem. W Zielonej Górze pracuje komisja powołana do opracowania zmian strukturalnych w sporcie. Dyskusje są ostre, mam nadzieję, że zrodzi się z nich coś sensownego. Nie mogą jednak oprzeć się refleksji, iż generalne zmiany w strukturze sportu trzeba było robić już dawno. Aleksander Kwaśniewski hamował te inicjatywy, twierdząc, że trzeba poczekać do Igrzysk Olimpijskich w Seulu. Cztery lata zostały stracone. Teraz znów słyszę głosy: poczekajmy do Barcelony...

JERZY WARDEGA (prezes ZKS Dozameł Nowa Sól): Niepokoi mnie niepewność losu trenerów i instruktorów. Do końca roku mamy na ich płace środki pochodzące z budżetu wojewódzkiego. Nie wiem jak to będzie funkcjonowało w oparciu o budżety terenowe. Pojawia się też inne niebezpieczeństwo. Jeśli „województwo” nie będzie dzieliło środków finansowych, to jak można tu mówić o polityce czy strategii w sporcie regionu. Mówi się o tym, iż państwo będzie utrzymywało na swoim garnuszku tylko wyczynowców najwyższej klasy oraz sport młodzieżowy. Jeśli chodzi o tę drugą kwestię, to może warto pomyśleć o rozdziale zadań między Szkolnym Związkiem Sportowym, a klubami. Niech SZS skupi się na ogólnym przygotowaniu młodych sportowców, ewentualną specjalizację zostawiając klubom. Poza tym przestrzegalbym przed wywracaniem wszystkiego do góry nogami i zaczynaniem „od stworzenia świata”.

DR CZESŁAW MAKUTYNOWICZ (Wyższa Szkoła Pedagogiczna): Nowe czasy wymagają nowego modelu działania sportowego. Ja pracuję w sporcie już 40 lat. Zawsze byłem nauczycielem, trenerem, zawodnikiem, działaczem... Nigdy zaś nie byłem i nie będę już biznesmenem. A dziś, niestety, działacz musi mieć głowę do interesu, bo inaczej nie będzie za co robić sportu. Smutne jest to, że w tzw. centrali nie ma jasnej wizji przyszłości polskiej kultury fizycznej. Dziś prawie każdy Polak, stary czy młody, lubi paradować w

dresie. Taka moda. Ale kto w tym dresie wybierze się na przebieżkę? Gdy z wnuczką biegalem ostatnio rozruszać się, wywołałem niemalą sensację. Dorosła część naszego społeczeństwa wstydy się uprawiać sport. To przerażające. Jak studentowi zaszcześcić bakcyła sportu, jeśli nie ma pieniędzy na zapłacenie godzin na basenie. W przyszłym roku akademickim studenci będą płacić przypuszczalnie 12 tysięcy złotych miesięcznie za basen. Akademickie kluby borykają się z olbrzymimi kłopotami finansowymi. Do działalności gospodarczej trzeba mieć fachowców. W dodatku powymyślano bardzo kosztowne systemy rozgrywek. W klasie makroregionalnej siatkarek obowiązywały mecze w sobotę i niedzielę. Z kolei byle turniej obsadzano sędziami związkowymi, co pociągało za sobą, lekko licząc, wydatek rzędu 200 tysięcy złotych dziennie. Ja pamiętam, że kiedyś, w mniej ważnych imprezach, sędziowali sobie nawzajem zawodnicy innych zespołów i awantur nie było z tego powodu.

ZBIGNIEW MAJEWSKI („Szeryf” z Dzonkowa): Ludzie, nie liczymy na centralę. Oni tam wiedzą tyle, co my tu, w terenie. Ja przyszedłem na dzisiejsze spotkanie prosto z dworca. Byłem w Warszawie, rozmawiałem z ludźmi. Oni tam pożegnali Kwaśniewskiego, powitali nowych ludzi, którzy pewnie też długo miejsca nie zagrają w tym urzędzie. Nie liczymy na dyrektów. Ten czas już się skończył. Dziś siła w gminie. Reformy sportu zielonogórskiego nie przeprowadzą nam urzędnicy. Trzeba się oprzeć na radnych, z nimi pójść do nowych władz. Ale wcześniej trzeba mieć program...

STANISŁAW TARNAWSKI (znany przed laty sprinter, były wiceprezes WFS): Pięknie pan mówi, panie Zbyszku, tylko niech pan powie: jak? Musimy postawić na ludzi, którzy chcą i wiedzą. Nie narzekajmy na brak pieniędzy. Przynajmniej na razie one jeszcze są. I to wcale nie takie małe. Dyskutuje się tu wiele o prowadzeniu działalności gospodarczej. Można, owszem, handlować sprzętem sportowym, tylko, że zapotrzebowanie jest tu raczej niewielkie. Mówi się o konieczności „przyśpieszenia” gospodarczego. To hasło dotyczy również i sportu.

ANDRZEJ SZCZĘSNY (przewodniczący Sekcji Sportu przy Zarządzie Regionu NSZZ „Solidarność”): Jeszcze w listopadzie ubiegłego roku w naszej sportowej administracji zatrudnialiśmy 140 osób, z tego tylko w księgowości ponad 20. Trzeba przyznać, że w krótkim czasie udało się odchudzić administrację o 40 procent. Przewodnicząc komisji pracującej nad nowymi strukturami sportu w regionie. Myślę, że nie ucierpi zielonogórska kultura fizyczna jeśli obsłużyć ją będzie około 50 osób. Poruszamy się trochę po



omacku. Nie wiem na przykład, czy ministerstwo edukacji narodowej będzie utrzymywało sport szkolny. Wracając do struktury zielonogórskiego sportu. Uważam, że potrzebne jest jedno centrum obsługujące wszystkie związki. Z kolei nie ma potrzeby utrzymywania biur tychże związków, jeśli nie ma w okręgu przynajmniej czterech sekcji w danej dyscyplinie. Wdłwczas rolę związku może przejąć praktycznie wiodący klub. Wszyscy czekają na Kongres. Do tego czasu powinniśmy jednak działać; sport nie lubi stagnacji. Padły tu słowa o nowym typie działacza — biznesmena. Zgoda, tylko, że w istniejących realiach, przedsiębiorczy człowiek będzie wolał działać na własną rękę. Po co ma się dzielić swoim zyskiem z klubem? Chyba, że jest filantropem, ale o nich coraz trudniej. W lekkiej atletyce, już od jakiegoś czasu, wprowadziliśmy częściową odpłatność młodzieży za obozy sportowe. Poza tym ja nie zgadzam się z opinią, że ludzie nie biegają dziś dla przyjemności. Wystarczy wybrać się na zielonogórskie Wzgórza Piastowskie. Już dawno nie widziałem tam tyle biegającej młodzieży.

R. G. MADRY: Młodych ludzi siłą nie zaciągniemy dziś na stadiony. Potrzebny jest spójny program usportowienia całego społeczeństwa. Nie ma dziś wzorców. Swoją cegiełkę do tego dołożyli środki masowego przekazu, prezentując wykrzywiony obraz sportu. Afery, transfery, przekupstwo sędziów... Tym epatuje się dziś czytelników i widzów. Czy można się dziwić, że coraz więcej ludzi omija stadiony? Nie spodziewajmy się większych pieniędzy na sport. Raczej rozsądnie gospodarujmy tym, co jest. Zbyt często bywamy bowiem rozrzućni. Wie-

rzę, że we władzach regionalnych sport uzyska należąca rangę. Nie liczymy też, że uda nam się utrzymać pseudozawodowstwo w prowincjonalnej piłce. Z lewymi etatami i podobną fikcją musimy się rozstać na zawsze. I to muszą zrozumieć również ludzie związani z zielonogórską Lechią.

RAJMUND TRYBUS (wiceprezes OZPN w Zielonej Górze): Wiele mówimy tu o pieniądzach, ale nie one są najważniejsze w sporcie. Telewizja pokazywała niedawno program o Władysławie Żmudzie, który szkoli najmłodszych piłkarzy w Weronie. Tam rodzice, a nie klub, płacą za udział dzieci w zajęciach sportowych. Pieniądże zepsuły polską piłkę. To prawda. Poziom lig i reprezentacji jest odwrotnie proporcjonalny do rosnących z roku na rok środków finansowych. Od lat nie możemy sobie poradzić w Zielonej Górze z problemem bazy. Na przykład nie wykorzystujemy murawy stadionu przy ul. Wrocławskiej. Kogo stać na taki luksus, jeśli nie ma gdzie szkolić młodzieży. Nie wierzymy w bajki, że boisko jest za małe. Pofatygowałem się kiedyś i dokładnie je zmierzyłem. Boisko jest wymiarowe.

TADEUSZ CHRYSZTOWICZ (wiceprezes RW LZS w Zielonej Górze): 43 procent mieszkańców tego województwa żyje na wsi. Co ma robić wiejska młodzież z czasem wolnym? Mówi się, że pieniądze zepsuły sport. Na pewno nie sport wiejski. Tam zawsze ich brakowało, bo podział był taki, a nie inny...

ZDZISŁAW ROLA (dyrektor dotychczasowego wydziału młodzieży i kultury fizycznej Urzędu Wojewódzkiego w Zielonej Górze): Mnie już denerwują te dyskusje na temat podziału pieniędzy. Przecież ja nie robiłem tego jednoosobowo...

T. CHRYSZTOWICZ: ale ja nie twierdzę, że dyrektor źle dzielił. Mnie chodzi tylko o rangę wiejskiej kultury fizycznej. Co proponuje się tej młodzieży? Jeśli codziennie do sklepu nie dostarczą przyczepy wina, sprzedawczyni lamentuje, bo nie ma czym handlować. O sporcie wiejskim trzeba zacząć mówić w szerszym gronie. Nie można nie docenić roli Kościoła, który zaangażował się w ideę podnoszenia poziomu kultury zdrowotnej społeczności wiejskiej.

J. WARDEGA: Jako prezesa klubu przeraża mnie postępująca komercjalizacja sportu. Dziś dziesięcioletni trampkarz żąda dożywiania i bezpłatnego sprzętu. WFS traktuje się dziś jako starą nomenklaturę. W „Solidarności” sportowej coś się dzieje, ale bardzo powoli. A sportem, moim zdaniem, trzeba dziś kierować nie kolektywnie, lecz menadżersko.

CZESŁAW PROTASEWICZ (dyrektor KS Zastal Zielona Góra): Gdzie są nasi radni wywodzący się ze środowiska sportowego? Na nich się oprzyjmy. Wokół nich stwórzmy zespół doradczy i tam walczmy o sprawy kultury fizycznej. Odrzućmy spory personalne.

MIECZYSLAW WIĘCKOWICZ („Gazeta Nowa”): Nie chciałbym nikogo z uczestników dyskusji obrażać, ale uważam, że takie spotkania są stratą czasu. W tym gronie powiedzieliśmy sobie już dawno wszystko. Jeszcze przed spotkaniem, znając skład dyskusantów, mogliśmy napisać z niego sprawozdanie... Nasza tragedia polega na tym, że nie doczekaliśmy się grupy nowych działaczy, ze świeżym spojrzeniem na sport. Jak słyszałem, w całym województwie, do organów samorządowych weszło 70 osób związanych mniej lub bardziej ze środowiskiem sportowym. Stworzyliśmy na tej bazie, dobrze rozumiane sportowe lobby.

Z. ROLA: Popieram tę propozycję. Uważam, że trzeba zrobić to jak najszybciej. W oparciu o tych ludzi możemy zalać coś konkretnego dla kultury fizycznej w województwie.

Przygotował do druku:

MIECZYSLAW WIĘCKOWICZ

PILKA JEST PRZESADA

Słynny, współczesny pisarz włoski, Alberto Moravia, twierdzi, iż piłka jest przesadą. Autor „Rzymianki” doszedł do takiego przekonania obserwując z bliska finały mistrzostw świata. Jeśli spojrzysz na zachowanie na przykład kibiców angielskich, trudno nie zgodzić się z Moravią. Ja przypominałem sobie jego słowa podczas meczu RFN-Holandia. Rijkaard, na oczach tysięcy widzów na stadionie i milionów przed telewizorami, dwukrotnie, zwyczajnie opluł Voellera. Nawet nie wiem dokładnie za co... W każdej innej życiowej sytuacji, taka publiczna zniewaga byłaby napiętnowana i zapewne zakończyłaby się w sądzie.

Na piłkarskim stadionie bezkarnie można kopać z premedytacją drugiego człowieka (co to za represja: rzut wolny czy żółta kartka). Można też do woli obrażać sędziego, bo tłum zapewnia „kibicowi” anonimowość. Futbol już dawno przestał być dyscypliną sportu. Stał się dziedziną życia. I to wcale niepośrednią.

Teraz słów kilka o tym, co mi przeskadza w odbiorze telewizyjnym Mundialu. Przede wszystkim torsji człowiek dostaje słysząc powtarzaną do znużenia reklamę „Adidas-torsion”. No, ale na to silny nie ma: dali pieniądze, więc wymagają. Studio mundialowe na Woronicza pracuje pod hasłem: dyletanci zapraszają dyletantów. Ciekawe, że na czele redakcji sportowej TVP stanęli ostatnio dwaj specjalisci od futbolu (Szczepciu i Tońciu — jak ich nazywają koledzy z branży), natomiast prowadzenie studia mundialowego powierzono niekoniecznie fachowcom. Sympatyczny skądinąd red. Marek Szewczyk zasilil ekipę z Woronicza prosto z redakcji „Konia Polskiego”. Za rządów Mikołajczyka wy-

robił sobie nawet takie wpływy, że nie było tygodnia na szklanym ekranie bez transmisji ze Służewca, WKKW lub innej pardu-bickiej. Na szczęście ten festiwal konia mamy już za sobą, a pan Marek przesiadł się na innego wierzchowca.

Znakomitym pomysłem było powierzenie roli współgospodyń studia milu paniom. Pani Magda, świetna niegdyś w „Teleexpresie”, w dyskusjach o taktyce czy technice potwierdza znana prawdę, że na piłce i medycynie w tym kraju zna się każdy. Szczególnie zaimponowała mi już na starcie Mundialu, pytaniem (via satelita) do Zbigniewa Bonka. Chodziło o... majtki, jakie niektórzy zawodnicy wkładają pod piłkarskie spodnie. Moją faworytką numer jeden jest jednak pani Kasia. Od czasu jak zgubiła kartkę maszynopisu, czytając program na jutro (do czego się szybko przyznała, zachęcając do zagładnięcia do porannej prasy) robi w telewizji zawrotną karierę. Jest wszechstronna nieczym koto gospodyni wiejskich. Mniemam, że dobrze gotuje...

Kiedy ludzie z Woronicza zrozumią, że zapraszanie do studia pana Kazimierza Górskiego jest pozbawione sensu. Nie dlatego, że człowiek się nie zna. Przeciwnie, o piłce pan Kazimierz wie wszystko albo jeszcze więcej. Potrafi o niej również ze swadą opowiadać. Potwierdzić moje słowa może radca prawny, Kazimierz Pańtak i mój sąsiad, Waldek Huczek. Swego czasu wypiliśmy w moim mieszkaniu z panem Kazimierzem Górskim co nieco. I wówczas okazało się jak wspaniałym gawędziarzem jest twórca największych sukcesów polskiego futbolu. Gdy jednak przypudrują mu nos, zaświecą w oczy jupiterami i postawią na ofon, pan Kazimierz zaczyna wygłaszać swoje słynne filozoficzne sentencje w stylu: piłka jest okrągła, można wygrać lub przegrać (albo jeszcze zremisować).

Nie tylko piłka jest przesada. Oto jeden z zielonogórskich radnych przygotowuje się do postawienia wniosku o przywrócenie religii do szkół. Szukając ewentualnych sojuszników zwrócił się także do radnego z SdRP, uzyskując... poparcie. Koniec świata.

MIECZYSLAW WIĘCKOWICZ

Mecz tygodnia

MUZYKA I KICK-BOXING

Niezwykle ciekawie zapowiada się sobotnia impreza w Drzonkowie. Po raz pierwszy w naszym regionie odbędzie się międzynarodowy mecz w kick-boxingu Polska Zachodnia — RFN. W polskim zespole wystąpią medalisci mistrzostw kraju: Dariusz Bakiewicz, Wojciech Kierstein, Mikołaj Mąka i Jarosław Milke. Trener reprezentacji RFN Milo Milanovic awizuje najsilniejszy skład na jaki go w tej chwili stać, z medalistami mistrzostw świata i Europy. Przerwy między walkami urozmaicone będą występami rockowej grupy „Chłopcy z Placu Broni” oraz Wandy Kwietniewskiej. Poza tym, w pokazach wystąpią mistrzowie Europy: Mirosław Daszkiewicz (kulturystyka) i Włodzimierz Rój (karate kyokushinkai). Sztukę samoobrony „Ai kido” prezentować będą członkowie akademickiego klubu z Zielonej Góry. Specjalny program przygotowali mistrzowie Polski w rock end rollu, Andrzej Gliwa i Karina Bargiel.

Ponadto organizatorzy przewidują: kiermasz sprzętu sportowo-turystycznego (z atrakcyjnymi bonifikatami i losowaniem cennych nagród wśród posiadaczy cegiełek). Obie imprezy rozpoczynają się o godz. 15 i 19, nie kolidują więc z transmisjami z Mundialu.

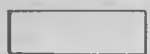
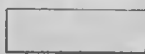
Zapraszamy do Drzonkowa. Takiej imprezy jeszcze na Ziemi Lubuskiej nie było.

IGRZYSKA SPORTOWE „SOLIDARNOSCI”

Koszykarski show w wykonaniu słynnej drużyny z Haarlemu, turniej tenisa ziemnego z udziałem Johna Mc Enroe, Ilie Nastase, Wojciecha Fibaka i Bjoerna Borga, konkurs skoku o tyczce (Rodion Gataulin, Earl Bell, Mirosław Chmara, Ryszard Kolasa), turniej tenisa stołowego (Jacques Secretin, Jan Ore Waldner, Andrzej Grubba), zawody żużlowe (Hans Nielsen i dawne gwiazdy — Zenon Plech, Barry Briggs, Ore Fundin), mecz piłkarski Polska — reprezentacja Europy... To tylko niektóre atrakcje Igrzysk Sportowych „Solidarności”, które odbędą się w dniach 12—22 sierpnia w Gdańsku. Do tematu wrócimy.

APATOR TORUŃ

FALUBAZ



W następnym numerze „Gazety” rozstrzygniemy konkurs na typowanie wyniku meczu Unia Leszno — Falubaz. Dziś kolejny kupon na spotkanie Falubaz — Apator Toruń. Czy zielonogórzanie uporają się z liderem ekstraklasy żużlowej? Typujemy do 2 lipca, przesyłając wypełniony kupon pod adresem: „Gazeta Nowa”, Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13. Można też przynieść kupony do redakcji osobiście.



Zarządzać poezją. Zarządzać poetów

„starej sympatii” przez byłego Zielonogórzanina A. K. Waśkiewicza. Zwracam na to wszystko uwagę tylko po to, żeby podkreślić jak niemożliwe jest już nie samo wydanie tomiiku, ale wyrobienie sobie jakiegokolwiek poglądu o rozwoju, bądź zanikaniu talentu poetyckiego np. Czesława Sobkowiaka. Znany jest „przypadek wydawniczy”, który zdarzył się innemu poecie — Brakonieckiemu. Krajowa Agencja Wydawnicza, zarabiająca krocie na kalendarzach, widokówkach i innym „rozbiieranym” towarze, wycofała z planów książkę wspomnianego autora, bowiem — jak stwierdzono — wpłynęło za mało zamówień księgarskich. A było ich... osiemset. Tomik Sobkowiaka ukazał się w nakładzie 600 egzemplarzy i — jak sądzę — próżno go będzie za chwilę szukać w księgarniach. Tak więc, bez zbędnych dywagacji już sam fakt ukazania się kolejnego tomiku zielonogórskiego poety należy uznać za SUKCES.

Wydaje się, że Sobkowiak zatęsknił do polifoniczności, którą błysnął w swoim debiucie poetyckim, zatytułowanym aluzyjnie „Powieść w odcinkach”. „Słowa do troski” nie są więc zbiorem wierszy lecz książką poetycką, zbudowaną wg własnych, wewnętrznych zasad konstrukcyjnych. Tomik podzielony formalnie na dwa niby-rozdziały, jest też wykładnią wewnętrznej dychotomii przesłań poetyckich. Otwiera go wiersz pt. „Ezra Pound”, w którym przez użycie nazwiska dość kontrowersyjnego poety, autor wyraża tęsknotę do autentycznych, literackich wiwisekcji. Te tęsknoty potwierdzają porozrzucane po książce wiersze o tytułach: „Stanisław Brzozowski”, „Wiersz o Hamlecie”, „Orfeusz”, czy choćby tekst poświęcony pamięci E. Stachury. Wydawałoby się więc, że mamy do czynienia z jakąś kokieterią literacką, bliższe prawdy jest nazwanie tych sygnałów literackich — supozycjami. Są te wiersze, podobnie jak inne pt. „Kobiety płaczą”, „Dzieci” itp. — wyrazem frustracji światem... pozaliterackim. Nieprzypadkowo więc „literacką” część tomiku wieńczę czy dość obszerna „Mikropowieść poetycka” zaczynająca się od słów „Odwijaliśmy tajemnicze zwoje egipskich papirusów / Wyjmowa

liśmy z piasku tabliczki wypalone w klinowym świetle. / Pajęczyna uchroniła nas od nieszczęścia”. I właśnie w tym momencie zaczyna się rozdarcie poetyckie, bowiem już w końcu całej książki czytamy: „Nie napiszę my żadnych ksiąg ani jednej księgi / Pod zmiennym ciśnieniem i wśród zmiennych ust” (Bez tytułu), „Artystyczne czasy są już daleko stąd” (Artystyczne czasy). „I jest takie wielkie smutne światło w nas” (Jeszcze w nas), „Już nie ma nas takich i nie potrzeba / Żeby poezją i śpiewem skatom dawać życie” (Orfeusz).

Słowem: to, co ulotne, literackie, wysublimowane — odeszło, albo jest absolutnie przez nas, ludzi — niezauważalne. A to, co dzisiaj określamy jako „poetyckie” — to egzaltowane odwzorowywanie jakichś zasłyszanych, zapoznanych „odruchów kulturowych”. Stąd chyba tytułowa troska Sobkowiaka i głębiej: inwokacja „do troski”. A co z tym się wiąże — pointa tytułowego wiersza: „Dlaczego dom powinien być pierwszy / W słowach troski”.

Pozostaje więc ucieczka w prywatność, w siebie, czyli: zmartwychwstanie „człowieka wewnętrznego”. W tym ostatnim haśle upatruję najpoważniejszą z prawd, którą trzeba sobie dziś, w tych paskudnych „czasach, przyswoić.

Dojrzała książka Sobkowiaka jest... smutna... gorzka. Poeta jeszcze nie tak dawno nawoływał w wierszach do „błękitnego mówienia”. Dziś, kiedy poezja niczego nie ocala, kiedy staje się narzędziem walki politycznej, kiedy nawet w swoich historiozoficznych aluzjach przestaje być uniwersalna — trzeba wielkiej troski, żeby nie zarządnąć „słowami” najczystszych właściwości POEZJI.

CZESŁAW MARKIEWICZ

PS. Jako że wszystkie wiersze pomieszczone w tomiku pt. „Słowa do troski” powstały co najmniej siedem lat temu, obok publikujemy najnowsze wiersze Czesława Sobkowiaka.

C.M.

Siedem lat czekał Czesław Sobkowiak, żeby „Słowami do troski” przypomnieć o swoim poetyckim istnieniu. Tomik ukazał się z ubiegłoroczną datą, jeszcze w „starych dekoracjach”... w RSW-sowskiej Młodzieżowej Agencji Wydawniczej, zredagowany po

Gwiazda fiolet

Ogród nam świeci obiad piętro wiersze
Gwiazda się zniża jeszcze nasza gwiazda
Chłody ostre tną upały nastają
I czasu mniej żeby dać odpowiedź

Równina a w niej sen krew i miłość
Zajęcia zrudne że bolesne ramiona
Jak ciałem uderzyć i wyznaczyć linię
By słowa nasze nie były złamane

Nad doliną nad miastem obłoki chore
Całuny śniegu i zwierzyna w trwodze
Każdemu życie jak ostatnia kropla wody
Każdemu rana żeby poznał prawne

Kto się nie modli temu myśli o chlebie mniej
Co jest oczywiste jak dwa plus dwa

Więc zwyczajność rozszarpaną na strzępy zobaczymy
I obojętne wżruszenie ramion świadków naszej kłębki

Nam kamienie polny horyzont dmuchawce i osty
Miejsca najlepsze by mówić o żalu i samotności

Gdy zgody brak staje się pomysłem na wszystko
A przestrogi czeze w obliczu syczących węży

Jak zawsze w Polsce gdzie już tylko poeci
Opłaczą sens naszej wdowiej szansy

Poufne z... Warszawy

Czystość sumienia

Nikt tego nie wie dokładnie, ale przypuszcza się, że około pół miliona Polek przerywa ciążę każdego roku. Jest to liczba rzeczywiście duża, świadcząca o traktowaniu aborcji jako swoistej antykoncepcji, przy czym zabiegi przerywania ciąży dokonywane są bezpłatnie w szpitalach, albo — znacznie częściej — w prywatnych gabinetach lekarskich i wtedy cena za te usługi waha się od 100 do 300 tys. zł., w zależności od oferowanych warunków, medykamentów i stopnia fachowości lekarza. W grę więc wchodzi nie tylko aspekty moralne czy medyczne całej sprawy, ale również finansowe, tzn. każdego roku ciężkie miliardy trafiają do kieszeni obrotowych ginekologów.

Problem przerywania ciąży już kilka razy stawał się przedmiotem dyskusji i polemiki. Dwa lata temu powstał nawet projekt ustawy sejmowej, zakazującej przerywania ciąży pod karą więzienia dla kobiety i lekarza, który ten zabieg wykonał, ale do jej uchwalenia nie doszło. Opór społeczny był bowiem tak wielki, że postanowiono sprawę „odłożyć”. A przy okazji: była to jednak dziwna sprawa i jak twierdzili „dobrze poinformowani”, nie chodziło w niej o etykę i moralność, czy względy ochrony zdrowia, a o najczystsza politykę. Ówczesne władze po (jak się im wydawało) ostatecznym spacyfikowaniu „Solidarności” szukały podobno sposobu, żeby osłabić również pozycję i autorytet społeczny Kościoła. O inicjatywę zmierzającą do uchwalenia wspomnianej ustawy poproszone zostały koła poselskie PAX-u i ChSS-u, jako najbardziej zbliżone do Kościoła. I rzeczywiście, wielu posłów, działaczy, naukowców i dziennikarzy broniąc wolności wyboru i liberalnej ustawy aborcyjnej, w taki czy inny sposób demonstrowało swoją niechęć właśnie do Kościoła i zastanawiało się (prywatnie albo półoficjalnie), co też takiego Kościół obiecał komunistom, że skłonił się do „cywilizacyjnego ustępstwa”...

Kilka tygodni temu znowu gruchnęła wieść: pochodząca z 1956 roku ustawa o dopuszczalności przerywania ciąży jest zagrożona, ponieważ 35 senatorów wystąpiło z projektem nowego aktu prawnego, którego idea sprowadza się do „chronienia dziecka poczętego”. Wieść okazała się prawdziwa, chociaż nikt — z wyjątkiem autorów projektu — nie ma zielonego pojęcia, czy chodzi o absolutny zakaz przerywania ciąży czy o jakąś modyfikację poprzedniej ustawy. Odbyło się spotkanie przedstawicieli Senatu, Aliona Grześkowiak i Waleriana Piotrowskiego, z „zainteresowanymi stronami” (przedstawicielki organizacji społecznych i kobiecych), doszło do kilku manifestacji i demonstracji „feministek”, które natychmiast spotkały się z podobną w formie odpowiedzią „ortodoksów”, marszałek Senatu, Andrzej Stelmachowski, miał podobno złożyć swój własny, kompromisowy, projekt ustawy, pojawia się coraz więcej postulatów, żeby w tej „donio-

słej i delikatnej” sprawie wypowiedziało się społeczeństwo (np. referendum), ale w dalszym ciągu wszystko to pozostaje w sferze „inicjatywy”, mglistych „planów”, pewnej tajemnicy.

Niepokojący jest natomiast ton wypowiedzi księży, publicystów katolickich oraz tych posłów i senatorów, którzy twierdzą, że dopiero rząd solidarnościowy ma odwagę powrócić do zasad życia chrześcijańskiego, wprowadzając zresztą wolę większości — bo skoro społeczeństwo jest w 90 proc. katolickie, całe prawo winno opierać się na wartościach i zasadach etyki chrześcijańskiej.

Nie wiem, jaki będzie finał tej inicjatywy teraz, kiedy wiele obszarów wolności obywatelskiej i osobistej gwałtownie się rozszerza, ale gdyby hierarchia kościelna dopuściła do uchwalenia ustawy antyaborcyjnej, mógłby

to być znak, że Kościół chyba coraz mniej wierzy swoim wiernym; również w ich wolną wolę, sumienie i duchową przynależność do wspólnoty...

Rozumiem stanowisko 35 senatorów-inicjatorów, są to pewnie ludzie wrażliwi, pełni wiary i woli czynienia dobra, ale konsekwencją wprowadzenia radykalnej ustawy może być — moim zdaniem — tylko to jedno: natychmiast wzrosną opłaty „za usługę”, bo le karze (i nie daj Boże, inni „specjaliści”) doliczą sobie „procent za ryzyko”; że ktoś wyśledzi, doniesie, zadenuncjuje. Senatorowie oczywiście będą mieli czyste sumienia — a „drugi obieg” usług aborcyjnych stanie się groźny i funkcjonować będzie poza wszelką kontrolą: prawną, medyczną, finansową itd.

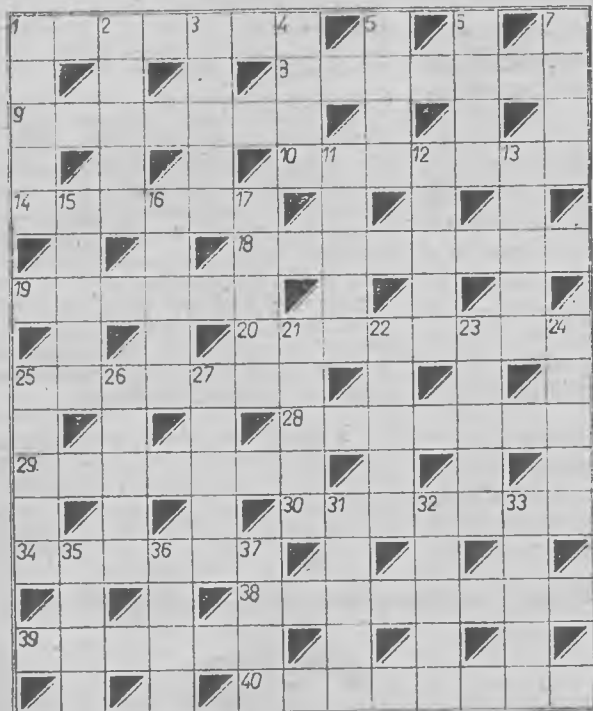
I z tym powinien liczyć się Kościół, nasz Senat, solidarnościowy rząd i wszyscy zainteresowani moralnym i biologicznym zdrowiem narodu.

ADAM BIELSKI



Spór o Walęcę?

Fot. Kru-Kru



POZIOMO: 1) wynagrodzenie za pracę, 8) wynik mnożenia, 9) styczność, 10) szeroka, ruchliwa ulica, 14) tymczasowe schronienie, 18) przegroda w sercu, 19) naczynie do pojenia zwierząt, 20) 4-kołowy pojazd na resorach, 25) wóz pogrzebowy, 28) pożytek, korzyść, 29) niedopieczony kawałek ciasta, 30) służy do zakręcania rzes, 34) młoda, nieletnia kaczka, 38) mały pies pokojowy, 39) na końcu zdania, 40) znany zabytek Krakowa.

PIONOWO: 1) każdy z łuków linii krzywej, 2) stopień wojskowy, 3) zmyslenie, 4) pęk piór, 5) tenisowe boisko, 6) jezioro, 7) lipcowa solenizantka, 11) rządzona była przez carów, 12) tkanina z Torunia, 13) zarzewie pożaru, 15) widziadło sennie, 16) czółenko tkackie, 17) droga o twardej nawierzchni, 21) stawiany na mogile, 22) minerał odmiana dwutlenku tytanu, 23) nakrycie głowy, 24) wnęka, 25) krzew, 26) grafa Marusie, 27) bitwa, 31) Daniel Olbrychski, 32) oszaczowanie, 33) do pisania na tablicy, 35) słaba kawa, 36) do krycia dachów, 37) skorupiak.

NOROR

Rozwiązanie krzyżówki należy nadsyłać pod adresem redakcji do dnia 11.VII.1990 r. Na kopercie należy nakleić nazwę i numer krzyżówki. Wśród prawidłowych rozwiązań rozlosujemy nagrodę w wysokości 50 tys. złotych.

Andrzej Mleczeko



Rozwiązanie krzyżówki nr 3

Poziamo: Wenera, wrotki, absynt, operat, przetak, trawa, wargę, przezka, plaksa, kluski, mańka, tabaka.

Pionowo: tref, sier, wiatr, nosze, renta, ostep, elana, apasz, zawal, Turck, kłapa, rolka, cisza, kpina, Adam, sukka.

Nagrodę wylosowała Elżbieta Kowalska z Wrocławia. Nagroda do odebrania w redakcji.

LEW — 23.07.—22.08.

Tydzień w dobrym samopoczuciu i przy znaczym przyplwywie energii. W pracy ambitne zadania, brawurowe ich wykonanie, słowa uznania i coraz lepsze perspektywy na przyszłość. W miłości idziesz tylko za głosem serca, ale nie należy zapominać o starych układach i mocno zacięniętych więzach — zarówno uczuć jak i przyjaźni! Bardzo dobre finanse. Planowana długa podróż uda się pod warunkiem, że będziesz bardzo uważny.

PANNA — 23.08.—22.09.

W pracy nowe, interesujące propozycje. Wszyscy, którzy wchodzi w życie zawodowe, powinni to zrobić właśnie teraz, dobra passa i szansa na udany start. Osoby wyjeżdżające na dalszą podróż winny szczególnie uważać na zdrowie, a roztargnieni — na bagaż i portfele. Finanse niezłe, ale i wydatki okazały się większe niż planowane. Nie zapomnij o poczynieniu jak najdalej idących oszczędności. W życiu osobistym niewykluczone niemiłe niespodzianki — rozstania, rozterki uczuć, a nawet niespodziewani i niezbyt sympatyczni goście.

WAGA — 23.09.—23.10.

Wszystkie nieporozumienia, napięcia, niedomówienia oraz niepewność, które miały miejsce w pracy — ulegną powolnej ale zdecydowanej poprawie. Wykonanie znacznie zwiększonych obowiązków nie sprawi Ci większego kłopotu, zdecydowanie o tym Twoja perfekcja i doskonała znajomość zakresu swoich czynności. Osoby zajmujące stanowisko kierownicze mają duże szanse na wygranie swoich racji, wprowadzenie planów i od dawna przygotowanego programu. Natomiast w życiu osobistym mogą wystąpić pewne trudności z zachowaniem wewnętrznego ładunku, spokoju, tolerancji, a przede wszystkim pełnego zaufania.

SKORPION — 23.10.—22.11.

Tydzień obfitujący w dodatkowe zadania, a nawet konieczność wykonania pracy za kogoś drugiego. Nie odmawiaj, Twój życzliwy stosunek szybko zostanie zauważony i doceniony. Wszyscy, którzy wybierają się w podróż służbową mają szanse wykazania się swoją wie-

dzia, talentem organizacyjnym i dużą dozą dyplomacji podczas załatwiania skomplikowanych spraw. W życiu rodzinnym bardzo sympatyczna niespodzianka, która wpłynie na umocnienie lekko nadwyrężonych więzi rodzinnych.

STRZELEC — 23.11.—21.12.

W życiu zawodowym coraz większe sukcesy, ale tylko dzięki Twoim zdolnościom, pracowitości i umiejętności koncentrowania się na sprawach najważniejszych. Niejeden Strzelec znajdzie się w kręgu powszechnego zainteresowania — zyskując aplauz, uznanie, nagrody i brawa. Nie zmieniaj się, wewnętrzna dyscyplina, pracowitość i odpowiedzialność to Twoje mocne strony.

KOZIOROZEC — 22.12.—20.01.

Udany, pogodny tydzień, szczególnie dla samotnych i korzystających z urlopowych wojaży. W pracy zawodowej zwiększone obowiązki, trochę napięć, nerwowości i niedomówień, ale wszystko ma charakter przejściowy i ułoży się dobrze. W domu klimat harmonii i zaufania, a pod koniec tygodnia radosna niespodzianka, wyjątkowo sympatyczne spotkanie w gronie przyjaciół wprowadzi Cię we wspaniałą nastrój. Dla samotnych może to być początkiem czegoś bardzo ważnego i końcem samotności.

WODNIK — 21.01.—20.02.

Tydzień nie zostanie zaliczony do spokojnych. W pracy, poza zobowiązaniami i zajęciami rutynowymi, sporo prac dodatkowych i drobne, ale częste i mocne nekające awarie. Pamiętaj o konieczności zachowania spokoju, a kultura obęskcia i promienny uśmiech bardzo w tym pomogą. Najważniejsze, by nie wpadać w panikę i wszystko co złe przetrwać ze spokojem.

RYBY — 21.02.—20.03.

Tydzień sympatyczny, miły nastrój, udany wypoczynek, nadzwyczaj przyjemny wyjazd (nawet ten krótki) i atmosfera ogólnego spokoju. W pracy zawodowej dobra passa, szczególnie udany tydzień dla wszystkich rozpoczynających pracę lub start na własne konto. Uda się wszystko, szczególnie gdy z uporem ale pogodą ducha, optymizmem i spokojem będziesz szedł do przodu. Trochę kłopotu z finansami, budżetem zachwicie niespodziewany, duży wydatek. Dobre zdrowie i samopoczucie.

ANKA

BARAN — 21.03.—20.04.

Bardzo interesujący tydzień. W życiu zawodowym zachowaj spokój i mimo nie najlepszych nastrojów i równie nieciekawych perspektyw — działaj jak dotychczas — z rozwagą. Ale trzymaj rękę na pulsie wydarzeń i nie dopuść by zaczęły Cię pochłaniać sprawy drugorzędne. W życiu osobistym nowa, bardzo frapująca znajomość, a pod koniec tygodnia bardzo udane spotkanie towarzyskie. W domu złagodzenie konfliktów i napięć.

BYK — 21.04.—21.05.

W pracy szykuje się zasadniczy zwrot i mimo, że początkowo nie będzie to wyglądało zbyt ciekawie, finał okaże się doskonały. Odkryte zostaną Twoje uzdolnienia, docenione i wykorzystane z obopólną korzyścią. Dla wszystkich samotnych dobre perspektywy, a dla wielu życie osobiste nabierze sensu i blasku pod wpływem osoby pragnącej dzielić z Tobą dobre i złe — nie tylko dni!

BLIŹNIĘTA — 22.05.—21.06.

Ogromna ilość pracy zawodowej, konieczność wdrażania nowych projektów, a pod koniec tygodnia — niespodziewane zwiększenie obowiązków (zastępstwo?). Podolasz, ale konieczny spokój i wielki takt przy postępowaniu — zarówno z przełożonymi jak i współpracownikami. W życiu osobistym podróż, która Cię czeka ma że zaowocować w dylemat: pociągająca, wspaniała, burzliwa historia miłosna czy zachowanie solidnego, wiernego, rodzinnego układu. Przemyśl wszystko bardzo dokładnie.

RAK — 22.06.—22.07.

Atmosfera w pracy nadal ulega poprawie, krystalizuje się sprawa przyszłych zadań. Przy mierzeniu się do sprawy, która jeszcze nie dojrzała do ostatecznych rozstrzygnięć powiano być bardzo ostrożne. Konieczne zachowaj spokój oraz umiar w ferowaniu opinii — nie wszyscy są Ci życzliwi. Dobre perspektywy finansowe, ale zwróć uwagę na konieczność zalwe słowotania w kogoś bardzo bliskiego i z trzeźwym podejściem do rzeczywistości.



PODATKI

Jeszcze czekania p... tego czy... cznionej... gospodar... prezentu... cznionej... wieku b... społeczn... matymne... ku obro... i innych... siębiro... krzywd... zarówno... narodowy

Od pey... dnie z... w kieru... uspołecz... uspołecz... towy, sy... piero po... dnakże... niezrozu... na była... uspołecz... nie wyst... przedsi... wość pra

Osoby... liczone... czech, cz... penienia... ci (tw. i... uszczani... pewnego... tej grupy... wie o po... tu. Otóż... dycyjne... na towar... ku kiedy... wadzace... towary z... la.

Sytuac... sanych... mienna... importu... obroto... przepisy... wnych, p... prawny... nansów, ... porządce

Obecn... sokości... są niew... się ten... wej, gda... obrocie,

Otóż... dzie na... kszonej... celnej, ... na ten... czna jes... telewizy

Osoba... wdzie j... ny sprz... warów.

Dopra... rodzaju... zumiem... działaln... wanej... psudotó

W tej... o tym... go pod

kącik bizne\$mena

PODATEK OBROTOWY PRZY IMPORCIE

Jeszcze niedawno wysokość i sposób uiszczania podatku obrotowego zależny był od tego czy podatnik zaliczał się do sfery wspólnie czynionej czy też był prywatnym podmiotem gospodarczym. Biznesmeni prywatni czyli reprezentujący jednostki gospodarki nieuspołecznionej, których problemy prawie przez pół wieku były klasowo obce zdrowej części społeczeństwa, z zazdrością śledzili akty normatywnie regulujące sprawy z zakresu podatku obrotowego przedsiębiorstw państwowych i innych jednostek uspołecznionych. Przedsiębiorcom prywatnym działa się po prostu krzywdą, szczególnie w dziedzinie handlu, zarówno krajowego jak i w obrocie między narodowym.

Od pewnego czasu przepisy podatkowe, zgo dnia z zapowiedziami, zaczęły ewoluować w kierunku zrównania sytuacji podmiotów uspołecznionych i nie będących jednostkami uspołecznionymi. Jeśli chodzi o podatek obrotowy, sytuacja ostatecznie wyjaśniła się dopiero po pierwszym maja bieżącego roku. Jednakże w zakresie importu nadal pozostały niezrozumiałe różnice. Tak jak wcześniej różna była sytuacja jednostek gospodarczych uspołecznionych i nie będących takimi, obecnie występuje wyraźny podział pomiędzy przedsiębiorstwami wyposażonymi w osobowość prawną i osobami fizycznymi.

Osoby fizyczne, bez względu na to czy za liczone są do grupy podmiotów gospodarczych, czy też prowadzą działalność bez dopełnienia wymaganych przepisami formalności (tzw. import prywatny), są zobowiązane do uiszczania podatku obrotowego zwanego od pewnego czasu „podatkiem granicznym”. Dla tej grupy podatników wprowadzono, w ustawie o podatku obrotowym, nowe pojęcie obrotu. Otóż za obrót uznano także, oprócz tradycyjnego rozumienia tego słowa, wartość celną towarów powiększoną o cło, w przypadku kiedy osobie fizycznej (nieważne czy prowadzącej działalność gospodarczą) nadesłano towary z zagranicy albo sama je sprowadziła.

Sytuacja podmiotów gospodarczych wyposażonych w osobowość prawną jest zgoła odmienna. Jednostki te w żadnym wypadku importu nie uiszczają granicznego podatku obrotowego. Obowiązują tu zupełnie inne przepisy, opublikowane w innych aktach prawnych, przy czym w odniesieniu do igu akt prawny ma rangę zarządzenia ministra finansów, a w przypadku nie igu jest to rozporządzenie tego samego ministra.

Obecnie zasadnicza różnica nie tkwi w wysokości podatku obrotowego w imporcie, te są niewielkie. Problem w tym kiedy płaci się ten podatek, co w działalności handlowej, gdzie pieniądze znajdują się w ciągłym obrocie, ma duże znaczenie.

Otóż osoba fizyczna płaci podatek (wprawdzie naliczany tylko od ceny towaru powiększonej o cło) przy dokonywaniu odprawy celnej, a więc zanim jeszcze zdąży zarobić na ten podatek. Wyobraźmy sobie jak znaczna jest to kwota np. przy 100 odbiorcach telewizyjnych.

Osoba prawna płaci podatek obrotowy (wprawdzie już od wyższej podstawy, bo od ceny sprzedaży), ale dopiero po sprzedaniu towarów.

Doprawdy nie wiem czemu ma służyć tego rodzaju zróżnicowanie, a już zupełnie nie rozumiem dlaczego osoby fizyczne prowadzące działalność gospodarczą w zinstytucjonalizowanej formie zostały zaliczone do grona pseudoturystów.

W tej sytuacji ponawiam apel, pisałem już o tym wcześniej, o wprowadzenie jednolitego podatku obrotowego od wartości dodanej.

ANDRZEJ RYCHLIK

KUCHNIA

KANAPKI Z OGORKIEM (SWIEŻYM)

Jako smarkata dziewczyna byłam z rodzicami w teatrze na sztuce chyba GB Sna-
wa, z której utkwiła mi niezwykle mocno w pamięci sprawa kanapek z ogorkiem. Nie pamiętam, co się działo ani o co chodziło, pamiętam natomiast, że jakaś pani ciągle miała o te kanapki pretensje. Zapamiętałam tą sekwencję tak dobrze dlatego, że „coś takiego” jak właśnie kanapka z ogorkiem w jadłospisie mojej rodziny nie istniało przypuszczam że było nie do pomyślenia — ogórek był na nizerię i do kieszonki. I dopiero gdy odwiedziłam ojczyznę Autora Sztuki zrozumiałam, jak wspaniałą smakowatą a przy tym inspirującą dla pań domu jest właśnie „kanapka z ogorkiem”. Wszystkim, którzy mają zdrową wątrobę proponuję spróbować.

Bazą do przygotowania takich kanapek jest ciemne pieczywo, świeże masło śmietankowe łączone w najróżniejsze smakowe kombinacje (z czosnkiem, koperkiem, zieloną pietruszką, szczy piorkiem, cebulą, mielonym pieprzem, słodką papryką, przyprawą Curry itp.) albo świeże masło śmietankowe i różnosmakowe serki typu Fromage — jak: czosnkowy grzybowy pietruszkowy, pieprzowy czy paprykowy — i rzecz najważniejsza — świeży ogórek unity i obrany ze skórki. Dalsze postępowanie jest bardzo proste. kromki ciemnego chleba smarujemy albo smacowym masłem, albo masłem śmietankowym a na to cienką warstwę serek fromage a na wierzch układamy plasterki ogórka. I tutaj wręcz nieograniczone pole do popisu dla wyobraźni kulinarnej pań domu — można plasterki ogórka układać jak płatki kwiatów, środek zaznaczyć kropelką keczupu lub małą rzodkiewką, do tego zielenina — można po przekątnej i w mżliżonej ilości konfiguracji. Kanapki przy bierany rzodkiewką, usiekanym koperkiem listkami zielonej pietruszki młodzieńkami listkami seler i naciowego keczupu — rybi pyszczyk a koperkowe piórka dolne i górne pietwy. Powodzenie kanapek było nieprawdopodobne, a ja długo nie mogłam ochłnąć z podziwu dla aniołków jak one potrafią nieomal z niczego zrobić przyjęcie z zachowaniem wszystkich reguł: smacznie, kolorowo, apetycznie i co najważniejsze — nietuczając!

BISZKOPT — KTORY ZAWSZE SIĘ UDA!

Osiem żółtek ucieramy z jedną szklanką cukru na puszystą masę — ubijamy pianę z sześciu białek, dodajemy utarte żółtka i lekko mieszając, dosypujemy jedną szklankę mąki kruszcowej. Ciasto od razu przekładamy do tortownicy lub proźiża (wysmarowanego tłuszczem i obficie posypanego tartą bułką) i pieczemy w średnio gorącym piekarniku (170 st. C) przez 35—45 min. Wyjmując z piekarnika, od razu odwracamy — wówczas mamy gwarancję że biskopt nam nie opadnie, będzie puszysty i lekki. Biskopt po przestygnięciu można przełożyć kremem, konfiturą dobrymi domowymi powidłami, bitą śmietaną — można też położyć na wierzch owoce i zalać galaretką — ale najsmaczniejszy jest przecięty na dwie części i przełożony musem jabłkowym wymieszany z garścią rodzynków łyżką smażonej skóry pomarańczowej i małym kieliszkiem rumu lub ponczu na runie — z wierzchem posypanym cukrem — pudrem.

EWA ASZKIEWICZ



ul. Podgórna 43 C, 65-213 Zielona Góra
TEL. 666-00, FAX 666-22, TLX 043 22 20

**Zatrudni od 1 sierpnia
dziennikarzy
profesjonalnych
(publicystów, reporterów)
do redagowania dziennika
Oferty do 2 lipca
w redakcji „Gazety Nowej”
pl. Bohaterów Stalingradu 13
Atrakcyjne płace!**

**zatrudni
murarzy
tynkarzy
zbrojarzy
do pracy na budowach
w Polsce
Po pół roku rzetelnej pracy
możliwość pracy
za granicą**

Ogłoszenia drobne

INTERDENTAL — najnowocześniejsza protetyka porcelanowa, stomatologiczna — Zielona Góra, ul. Lechitów 11 (wtorki i czwartki godz. 16.30—18.30), rejestracja codziennie godz. 10—13.



Rys. M. Hajnos

Przedsiębiorstwo Usługowo-Handlowe „JAROS-POL” zaprasza klientów, producentów i dostawców sprzętu gospodarstwa domowego, wyposażenia mieszkań, oświetleniowych lamp oraz elektronicznego i radio-telewizyjnego do sklepów przy ul. Westerplatte 10 i Warszawskiej 27 telefon 220-15. Posiadamy w sprzedaży atrakcyjne płytki ceramiczne, tapety i wykładziny podłogowe z importu oraz rowery dziecięce, sportowe i części rowerowe.

25-letni (180 cm) kawaler pozna dziewczynę z Zielonej Góry lub okolic w celu spędzenia wspólnie urlopu pod namiotem od końca lipca do końca sierpnia. Oferty kierować na UPT w Zielonej Górze nr 3, ul. Wrocławskiej, skr. poczt. 4.

Sprzedam ręczną kosiarkę do trawników (rok prod. 1988), Zielona Góra, tel. 630-09, po 20-tej.

ANTENY satelitarne firm AMSTRAD i ALBA, 80 kanałów, stereo, pilot, Dekodery FILM-NET. Naprawa konwerterów antenowych. Instalacje i serwis TV SAT. Najniższe ceny! SATEC, Zielona Góra, ul. Chmielna 20, tel. 701-17.

Sprzedam kredens dębowy (antyk) w bardzo dobrym stanie. Ryszard Łaskawiec, Sława, ul. Warszawskiej 91E/37, tel. 63-61.

TYDZIEŃ

MIEJNOŚCI

- 28 czerwca — Benigny, Ireneusza, Leona.
29 czerwca — Beaty, Pawła, Piotra,
30 czerwca — Emilii, Lucyny, Rajmunda,
1 lipca — Haliny, Mariana, Teodora,
2 lipca — Jagody, Marii, Urbana,
3 lipca — Anatola, Jacka, Mirosława,
4 lipca — Elżbiety, Alfreda, Emilia na.

MUZEA

Lubuskie Muzeum Wojskowe w Drznowie (czynne 9.30—15.30). Broń XIX/XX wieku. II wojna światowa. Ciężki sprzęt bojowy. Galeria autorska W. Czechowskiej-Antoszczyńskiej. Malarstwo Bronisławy Wilińskowej. Ludowe Wojsko Polskie.

Muzeum w Nowej Soli (czynne 10—16). Konserwacja obrazu Abrahama Beyeyrena „Dary morza”. Portret dworski XVIII w. Kultura mieszczańska XIX w. Militaria. Herby miast nadodrzańskich w dawnej pieczęci. Przyroda doliny Odry. Rzeźba gotycka drewniana XIV—XV w. Malarstwo Güntera Kleina.

Muzeum w Świebodzinie (czynne 9—15). Dawne rzemiosło świebodzińskie. Przyroda Ziemi Lubuskiej.

Muzeum Marcina Rożka w Wolsztynie (czynne 9—15). Życie i twórczość Marcina Rożka.

Izba Pamięci dr Roberta Kocho w Wolsztynie (czynna po uzgodnieniu w muzeum M. Rożka)

Muzeum Okręgowe w Zielonej Górze (czynne 11—17). Galerie autorskie — Jana Berdyszaka, Józefa Cyganka, Aleksandry Domańskiej-Bortnowskiej, Leszka Krzyszowskiego, Marii Powalysz-Bardońskiej. Malarstwo i tkanina przestrzenna Lucyny Krakowskiej. Malarstwo Kamili Marchelek. Formy przestrzenne Jana Chwałczyka. Sztuka starożytnego Rzymu. Winiarstwo — sztuka, rzemiosło, tradycja. Malarstwo Grzyny Graszki. Malarstwo grupy „Kwadrat” z Witebska.

Muzeum Archeologiczne Środkowego Nadodrza w Z. Górze z siedzibą w Świdnicy (czynne 9—15). Środkowe Nadodrze u schyłku starożytności. Obrona polskiej granicy zachodniej. Środkowe Nadodrze w pierwszym tysiącleciu przed naszą erą. Malarstwo Tomasza Słwińskiego „Pejzaż archeologiczny”.

Muzeum Etnograficzne w Z. Górze (z siedzibą w Ochli) czynne 10—16. Wycinanki i pisanki Władysława Tomczaka. Wystawa „Od włókna do tkaniny”.

Wejwódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Zielonej Górze (czynna 10—17). Muzeum Książki Środkowego Nadodrza. Galeria polskiej ilustracji książkowej.

Żagański Pałac Kultury (czynny 10—17). Poplenerowa wystawa malarstwa uczniów Liceum Plastycznego w Zielonej Górze. Harcerska wiosna kulturalna. Muzyka i taniec przejawem kultury ludzkiej. Zabytki klasy „0” na widokówkach ze zbiorów Jana Drozdowskiego.

Muzeum Martyrologii Alianekich Jeńców Wojennych w Żaganii (czynne 10—16)

KINA

„Piast” BABIMOST

28.06.—3.07. Nieoczekiwana zmiana miejsc (USA, 15 l.), Nico (USA, 18 l.).

„Zwycięstwo” CYBINKA

28.06. Wall Street (USA, 15 l.), Po wrót na ziemię (USA, 12 l.).
29.06.—4.07. Zaginiona księżniczka (czech., b/o), Nico (USA, 18 l.).

„Ceramik” GOZDZICA

28.06.—1.07. Samotny wilk McQuanda (USA, 15 l.), Śmiercionośna ślicznotka (USA, 18 l.), Zamieniona królowa (NRD, b/o).

„Ikra” GUBIN

28.06.—1.07. Niedźwiadek (franc., 12 l.), Obcy, decydujące starcie (USA, 15 l.), Krótkie spieczę (USA, 12 l.), Żyć i pozwolić umrzeć (USA, 15 l.).

„Światowid” KARGOWA

28.06.—3.07. Kamienny wyrok (kan., 18 l.), Krótkie spieczę (USA, 12 l.), Wodne dzieci (ang., b/o).

„Uciecha” KOZUCHÓW

28.06.—2.07. Commando (USA, 15 l.), Sztuka kochania (pol., 15 l.), Czarownice z Eastwick (USA, 18 l.).

„Wzgórze” KROSNO ODRZAŃSKIE

28.06. Ludzie koty (USA, 18 l.), Zło te dziecko (USA, 12 l.).
29.06.—4.07. Oszolomienie (pol., 18 l.), Wielka przygoda psa Benjego (USA, b/o), Imperium słońca (USA, 15 l.).

„Newa” LUBRZA

28.06. W imię przyjaźni (franc., 13 l.), Zabi król (NRD, b/o), Rybka zwana Wandą, czyli jak odzyskać łup (ang., 15 l.).
29.06.—4.07. Magiczny warkocz (chiński, 15 l.), Akt zemsty (USA, 18 l.), O księżniczce Jutrzenie i latającym szwecu (czech., b/o).

„Patria” LUBSKO

28.06.—1.07. Predator (USA, 15 l.), Kosmiczne jaja (USA, 12 l.), Przekleństwa, zły los (NRD, b/o).

„Świtez” ŁAGÓW

2.07.—4.07. Moonraker (USA, 15 l.).

„Dozameł” NOWA SÓL

28.06.—3.07. Superglina (USA, 18 l.), Peggy Sue wyszła za mąż (USA, 15 l.).

„Odra” NOWA SÓL

28.06.—3.07. Zdradzeni (USA, 15 l.), Cobra (USA, 15 l.), Fałszywy książę (czech., b/o).

„Ludowe” NOWE MIASTECZKO

28.06.—2.07. Mucha (USA, 18 l.), Śmiertelnie mroźna zima (USA, 15 l.).

GALERIE

„Agfa” — Dom Kultury, ul. Kazimierza Wielkiego — Zdjęcia Marcina Murawskiego

„Art” (czynna 10—17): Malarstwo Klary Lipińskiej-Rawicz

Salon BWA (czynny 11—17) Łagów '89 — wystawa poplenerowa

Galeria WSP — Wystawa pokonkursorowa rysunku satyrycznego pt. „Telewizja”

Żarska Galeria Eklibrisu (czynna 9—16)

TELEFONY

- | | |
|-------------------------|-------------|
| Pogotowie Policyjne | 997 |
| Straż Pożarna | 998 |
| Pogotowie Ratunkowe | 999 |
| Pogotowie c.o. | 993 |
| Pogotowie wd.-kan. | 994 |
| Pogotowie energetyczne | 991 |
| Pogotowie gazownicze | 23181 |
| Pogotowie weterynaryjne | 917 |
| Informacja PKS | 22301 |
| Informacja PKP | 3338 |
| LOT | 70797 i 952 |

- Pomoc drogowa:
Gubin, Nowa Sól, Sulechów 981
Kozuchów 493
Świebodzin 981 i 23587
Zielona Góra 70552, 67765, 3065, 981

APTEKI

ZIELONA GÓRA
28.06. — pl. Bohaterów Stalingradu
29.06.—1.07. — ul. Świeczewskiego

LUBSKO
28.06.—1.07. — ul. Krakowskie Przedmieście

NOWA SÓL
28.06. — ul. Wyzwolenia
29.06.—1.07. — ul. Nowotki

SULECHÓW
28—29.06. — Al. Wielkopolskie
30.06.—1.07. — ul. Świeczewskiego

ŚWIEBODZIN
28.06.—07. — ul. I Maja

WOLSZTYN
28—29.06. — ul. 5 Stycznia
30.06.—1.07. — ul. Świeczewskiego

ŻAGAN
28—29.06. — ul. Śląska
30.06.—1.07. — ul. Pomorska

ŻARY
28.06. — ul. Buczka
29.06.—1.07. — ul. Osadników Wojskowych

ZDANIE TYGODNIA

Żadne kłamstwo nie doczeka się starości.

(Sofokles)

„Obra” ZBĄSZYŃ

28.06.—3.07. Tunel (ang., 18 l.), Czarny wąż (pol., 15 l.), Ucieczka w noc (USA, 18 l.).

„Wenus” ZIELONA GÓRA

28.06.—30.06. Przygody rabina Jacobiego (franc. 15 l.), 9.30, 11.30, 13.30, 15.30, 17.30, 19.30.
1.07. godz. 12.00 Ucieczka (zestaw bajek), godz. 13.30, 17.30 Interkosmos (USA, 1. 12), godz. 15.30, 19.30 I skrzypce przestały grać (pol. 15 l.).
2.07.—3.07. godz. 9.30, 13.30, 17.30 Interkosmos (USA, 1. 12), 11.30, 15.30, 19.30 I skrzypce przestały grać (pol., 15 l.).
4.07. godz. 9.30, 13.30, 17.30, 19.30 I skrzypce przestały grać (pol., 15 l.), godz. 11.30, 15.30 Gliniarz z Beverly Hills II (USA, 15 l.).
5.07.—6.07. godz. 9.30, 13.30, 17.30 Elektroniczny morderca (USA, 15 l.), godz. 11.30, 15.30, 19.30 Gliniarz z Beverly Hills II (USA, 15 l.).

„Meteor” ŻAGAN

28.06.—1.07. Old Sheterhand (RFN, b/o), Chce mi się wyć (pol., 18 l.), Gliniarz z Beverly Hills (USA, 15 l.), F/x (USA, 18 l.).

„Pionier” ŻARY

28.06.—1.07. Młode strzelby (USA, 15 l.), Jak to się robi w Chicago (USA, 18 l.), Wielka draka w Chińskiej dzielnicy (USA, 12 l.).

PROGRAM TV

CZWARTEK 28.06.

PROGRAM I

8.45 Domator
9.00 Wiadomości poranne
9.10 Kino Teleferii: „Dziewczyna i chłopak” (1) — film TP
9.55 „Czwarta pięćdziesiąt w Paddington” — węg. film krym.
16.50 Rolniczy film oświatowy
17.30 Biznes
17.55 Film dokumentalny
18.25 Magazyn katolicki
18.45 „10 minut”
19.00 Dobranoc
19.10 Kupić, nie kupić — mag. komsumenta
20.05 „Czwarta pięćdziesiąt w Paddington” — węg. film krym.
21.50 Interpelacje
22.40 Sport
22.50 Pegaz

PROGRAM II

16.55 Korep. dla mat.: J. ang. (59)
17.25 Program dnia
17.30 „W labiryncie” (powt.)
18.00 Program lokalny
18.30 Program na życzenie
19.30 „Wolny jak Zorba” — rep.
20.30 Wielki sport
21.00 Express reporterów
21.50 Perły z lamusa: „Północ Północy Zachód” — film prod. USA

PIĄTEK 29.06.

PROGRAM I

8.25 Express gospodarczy
8.45 Domator
9.00 Wiadomości poranne
9.10 Teleferie: Teletato
9.40 Kino Teleferii: „Upiór” (1) — film prod. NRD
10.10 „Boso do łózka” (4) — film prod. NRD
15.30 NURT: Polska emigracja
17.30 Raport
17.50 Skarbiec
18.30 Rzeczpospolita samorządna „10 minut”
18.50 Dobranoc
19.00 Teraz — tyg. gospodarczy
20.05 Kino muzyczne Kydryńskiego: „Magnolia” — film prod. USA
22.05 Sport
22.15 Weekend w „Jedynce”
22.25 Sztuka i my
23.00 Spór o jutro — Otwarte stu

PROGRAM II

16.35 Korep. dla mat.: J. ang. (60) — lekcja ostatnia
17.05 Program dnia
17.10 Wzrockowa lista przebojów
17.40 Express gospodarczy (powt.)
18.00 Program lokalny
18.30 „Dobra Nadzieja” (13-ost.) — film prod. franc.
19.20 Antena „Dwójki”
19.30 Młodzi Japończycy koncertują w Pułtusku
20.00 Piątek... z Mroźkiem — mag. z Krakowa (wyd. specjalne)
21.00 Antyczny świat prof. Krawczuka
21.45 Sztuka nad Renem — rep.
22.05 „X Califfa” — dramat wł.

SOBOTA 30.06.

PROGRAM I

7.05 TTR. Zajęcia wakacyjne — Technologia uprawy pszenicy

7.50 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie — progr. rekreacyjny
8.40 Ziarno — program Redakcji Katolickiej dla dzieci i rodziców
9.00 Kino Teleferii: „Ostatni elektryczny rycerz” — pilotowy odc. serialu USA „Partnerzy”
9.50 Chłopcy ahoj! — turniej morski
10.30 Wiadomości poranne
10.40 Militaria, obronność, nowoczesność — publicystyka wojskowa
11.05 Laboratorium — Szukanie alternatywy
11.35 Życie — magazyn ekologiczny
12.05 Siódemka w Jedynce — francuski progr. sat. przedstawia Z Polski rodem — magazyn polonijny
14.10 Telewizyjny film dokumentalny: „Czas Gdyni”
15.30 Informacje — progr. rozrywk.
16.00 Butik
16.30 Telexpress
16.45 Studio Italia '90: MS w piłce nożnej — 1/4 finału
19.00 Dobranoc
19.10 Z kamerą wśród zwierząt
20.00 Kabaret Olgi Lipińskiej
20.45 Studio Italia '90: MS w piłce nożnej — 1/4 finału
22.55 Siedem dni: Świat
23.25 Życie jest fraszką
23.45—1.15 „Słaby punkt” — film sensacyjny prod. USA

PROGRAM II

11.55 W świecie ciszy — program dla niesłyszących
12.30 Studio im. Andrzeja Manka: Piotr Mikucki
13.30 Spektrum — magazyn przyrodniczy prod. USA
13.45 „Królestwo aligatora” — film przyrodniczy prod. USA
14.40 Lepiej myślisz, lepiej żyjesz — reportaż
14.55 Meandry architektury: Zabawy z wodą
15.15 Nocą na końcu świata — rep.
15.25 Pożegnanie
15.30 Krakowski Kazimierz — rep.
16.00 Sześciuwy wydarzenie czyli drugie narodziny Mroźka
16.25 Borzęcin — reportaż
17.00 Wielka gra — teleturniej
18.00 Program lokalny
18.30 Odeon na antenie Dwójki
19.15 Poezja nowej fali: Stanisław Barańczak
19.30 Przed konkursem Chopiaowskim (6): Werdyumy są nieodwołalne
20.30 Diariusz festiwalowy
20.45 „Portret” — próba porównania
21.00 „Piwnica” dla Mroźka
21.45 „Ostatnie dni Pattona” (2) — film fab. prod. USA

NIEDZIELA 7.07.

PROGRAM I

7.00 Witamy o siódmej
7.30 Kraj z miastem — reportaż
7.55 Po gospodarsku — magazyn spraw wiejskich
8.10 Od niedzieli do niedzieli — program redakcji rolnej
9.00 Kino Teleferii: „Na tropie antylopy Bongo” — film USA
10.35 „Na podbój oceanów” — odc. 5 (ostatni) pt. „Podróż na koniec świata” — film prod. USA

11.25 Notowania, czyli co się opła — **WTOREK 3.07.**
ca rolnikowi

11.50 Telewizyjny koncert życzeń
12.35 „Tryptyk Łomżyński” — rep.
13.00 Morze — magazyn public.
13.20 „Mszar” — film przyrodniczy
13.55 Zderzenie — progr. public.
14.25 Pieprz i wanilia
15.10 Antena
15.35 „Powrót Arsena Lupin” — odc. 4 pt. „Złoty trójkąt” — film prod. francuskiej
16.45 Studio Italia '90: MS w piłce nożnej — 1/4 finału
19.00 Wieczorynka
20.05 XXVII Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki Opole '90: Od Opola do Opola
20.45 Studio Italia '90: MS w piłce nożnej — 1/4 finału

PROGRAM II

10.30 Kalejdoskop — mag. wojsk.
11.00 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
11.30 Jutro poniedziałek
12.00 Polska Kronika Filmowa
12.10 „Płonące pola” (5) — serial prod. angielsko-australijskiej
13.00 100 pytań do...
13.40 Maciej Niesiołowski: Z batutą i z humorem
14.00 Ballada o drodze
14.30 Studio Kontakt z Paryża
16.00 Mroźek — podsumowanie festiwalu w Krakowie
16.35 Podróż w czasie i przestrzeni: „Lot kondora” — odc. 3 (ostatni) pt. „Z biegiem Amazonki” — film dok. prod. ang.
17.30 Bliżej świata — przegląd tv satelitarnej
19.00 Wydarzenie tygodnia
19.30 Publicystyka kulturalna
20.00 „Kupiony mąż” — film fab. NRD
21.45 „Płonące pola” (5) — serial prod. angielsko-australijskiej
22.35 Za chwilę dalszy ciąg programu — wydanie specjalne (z Nowego Jorku) programu satyrycznego W. Manna i K. Materny
23.40—23.45 Akademia wiersza: Jerzy Liebert „Jurgowska karezmia”

PONIEDZIAŁEK 2.07.

PROGRAM I

17.30 Rzeczpospolita samorządna
18.00 „Dynastia” (1) — serial prod. USA
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc: Smurfy
20.05 Teatr TV: Spektakl na bis — Raymond Chandler — „Zegnaj laleczko” (cz. 1 i 2)
22.20 Kontrapunkt
22.50 Wiadomości wieczorne
23.05—23.50 „Dynastia” (1) — powt.

PROGRAM II

15.30 „Capital City” (1) — serial prod. angielskiej
16.30 Publicystyka
16.45 Ojczyzna-polszczyzna: Polszczyzna we Wrocławiu
17.00 Kino rodzinne
18.00 Program lokalny
18.30 Przegląd PKF
19.00 „Bagdad Cafe” — serial komediowy prod. USA
19.30 Koncert roku
20.00 Auto-moto-fan-klub
20.30 Osądźmy sami
21.15 Rozmowy o cierpieniu
21.45 „Capital City” (1) — serial prod. USA (powt.)

PROGRAM I

9.10 Teleferie: „Tajemnicza wyspa” — odc. 2 pt. „Tajemnica” — film prod. czeskosłowackiej
10.10 „Recepta na miłość” — komedia prod. czeskosłowackiej
17.10 Program dnia
17.30 Spejzzenia — magazynu poświęcony ZSRR
18.00 „Dynastia” (2) — serial prod. USA
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc: Smurfy
19.45 Studio Italia '90: MS w piłce nożnej — półfinały
22.00 Teraz — tygodnik gospodarczy
22.30 Wiadomości wieczorne
22.55 „Dynastia” (2) — powt.

PROGRAM II

8.00—11.00 Telewizja śniadaniowa
8.15 „Ulica Sezamkowa” — progr. dla dzieci
9.00 „Santa Barbara” (1) — serial prod. USA
9.45 Magazyn telewizji śniadaniowej
10.45 CNN — Headline News (wersja oryginalna)
15.00 Powitanie
15.10 Dookoła świata
15.40 Modlitwa
16.00 Program lokalny
17.00 „Historia Hollywood” — serial dok. prod. USA
18.00 Program lokalny
18.30 Program na życzenie
19.30 Program publicystyki kulturalnej
20.00 Non stop kolor — magazyn
21.00 Wywiady Ireny Dziedzic
21.45 Non stop kolor: „Światło dnia” — film fab. prod. USA

ŚRODA 4.07.

PROGRAM I

7.40 Express gospodarczy
9.00 Wiadomości poranne
9.10 Teleferie: Altanka
9.40 Kino Teleferii: „Zagubiona mełodia” (2) — film prod. czech.
10.05 „Kochany tatus” — film fab. prod. bułgarskiej
11.10 Po sześćdziesiątce — magazyn
17.00 Program dnia
17.30 Publicystyka międzynarodowa
18.00 „Dynastia” (3) — serial USA
18.45 Rolnicze rozmaitości
19.00 Wieczorynka: Smurfy
19.45 Studio Italia '90: MS w piłce nożnej — półfinały
21.55 Polska z oddali — felieton Jana Nowaka Jeziorańskiego
22.05 „Świadkowie” — film dok. Marcela Łozińskiego
22.50 Wiadomości wieczorne
23.15 „Dynastia” (3) — powt.

PROGRAM II

8.00—11.00 Telewizja śniadaniowa
8.15 „Ulica Sezamkowa” — program dla dzieci
9.00 „Santa Barbara” (2) — serial prod. USA
9.45 Magazyn telewizji śniadaniowej
10.45 CNN — Headline News (wersja oryginalna)
15.40 Express gospodarczy (powt.)
17.00 „Szpital na peryferiach” (1) — film prod. czeskosłowackiej
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn 102
19.00 „Kiedy odszedł Henry” (1) — serial prod. angielskiej
19.30 Galeria
20.15 Telewizja nocą
21.00 Ze wszystkich stron: Rumunia po wyborach (1) — reportaż
21.45 „W labiryncie” — serial TP
22.15 Studio sport: Mityng lekkoatletyczny z Berlina

GAZETA NOWA

REDAGUJE KOLEGIUM: Andrzej Buck (redaktor naczelny) Andrzej Gajda (sekretarz redakcji), Lucyna Małachowska-Grabowska Czesław Markiewicz Edward J. Mincer. Konrad Stanglewicz **ZESPÓŁ:** Anna Bułat-Raczyńska, Leszek Krutulski-Krechowicz (fotoreporter), Krystyna Kulbicka (redaktor techniczny kierownik redakcji) Witold Michorzewski (grafik), Jacek Patajas, Alina Suworow, Mieczysław Więckowicz. **STALE WSPÓŁPRACUJĄ:** Bogdan Kuncewicz, Mirosław Kuleba, Wojtek Mróz. **ADRES REDAKCJI:** 65-067 Zielona Góra, Pl Bohaterów Stalingradu 13 tel. 30-01 **WYDAWCA:** „ALPO” SC Zielona Góra, ul. Podgórna 43c, tel. 666-00 fax: 666-22 tlx 043 22 20 **DRUK:** Drukarnia Prasowa ZWP Zielona Góra, ul. Reja 5 Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów Materiałów nie zaawionych nie zwracamy.

KURIER ZIELONOGÓRSKI

U NAS

◇ Komitet Obywatelski woj. zielonogórskiego przeniósł się z gmachu UW do siedziby Zarządu Regionu „S”. Dalej od rządu, bliżej Wałęsy?

◇ Odbyła się III tura Regionalnego Zjazdu NSZZ „Solidarność”, zdominowana przez sprawy programowe.

◇ Zielonogórska SdRP okrzepła w formalnej strukturze. Przewodniczącym RW został poseł, prof. Tadeusz Biliński, sekretarzem Komitetu Wykonawczego Zenon Miech.

◇ Liberalowie w ofensywie. Ponownie gościliśmy w Zielonej Górze lidera, Janusza Korwina-Mikke. Prawdopodobnie od września godziny popołudniowe odmierzają się będzie według „Czasu Zachodniego”. Próbnym numer przyszłej po południówki, firmowanej przez Unię Polityki Realnej, przeczytaliśmy z rozczarowaniem. Klania się Sztudynger: „Nie brak im chęci, ale możliwości”.

◇ Chcesz zrobić karierę? Czytaj „Gazetę Nową”. Nasz sympatyk Maciej Jankowski wybrany został burmistrzem Kożuchowa. Gratulujemy też braciom Perlakom — przewodniczącemu Rady i burmistrzowi Bytomia Odrzańskiego. Grunt to rodzinka (dobra)

◇ Kto wygra konkurs na Kuratora Oświaty i Wychowania? Wróble ćwierkają o kandydatach ze Zbąszynka, Sulchowa i Zielonej Góry.

◇ W ostatnim czasie zainstalowało się w Zielonogórskim ok. 30 firm, reprezentujących kapitał zagraniczny z Berlina Zachodniego, RFN, Danii, Holandii, Austrii i Wielkiej Brytanii. Chęć zarabiać przede wszystkim na turystyce, za bytkach, rolnictwie i przetwórstwie owocowo-warzywnym

◇ Po trzyletniej przerwie inauguruje swoją działalność Salon Wystaw Artystycznych w Tarach. Do 29 lipca oglądać można tam wystawę pokonkursową XIII Wojewódzkiego Konkursu Tkaniny Artystycznej Żary '90. Na wystawie ekspozycyjne są prace plastyków amatorów z terenu całego województwa zielonogórskiego. Organizatorem konkursu i wystawy jest Żarski Dom Kultury. Tkaniny oglądać można od wtorku do piątku od 12.00 do 17.00, w sobotę i w niedzielę od 12.00 do 16.00. Salon Wystaw Artystycznych mieści się przy ulicy Chrobrego 17 — przypominamy o tym wszystkim, którzy przez trzy lata zżółkli zapomnieć. Salonia.

◇ Dzień Ojca (23 czerwca) przeminął, zgodnie z tradycją, nieopstrzeżenie. Drogie Dzieci i Matki, jak tu mówić o równouprawnieniu?

W Wyższej Szkole Pedagogicznej w Zielonej Górze odbyło się międzynarodowe sympozjum naukowe na temat kształcenia pracowników upowszechniania kultury w świetle zmian społeczno-politycznych w Polsce. Uczestnikami byli m.in. naukowcy z Węgier i Związku Radzieckiego.

KB

Nie — dla wojewody Piwońskiego!

Jerzy Opęchowski

— przewodniczącym Sejmiku

Sejmik samorządowy

Sejmik samorządowy woj. zielonogórskiego rozpoczął się — o dziwo — przy 100 proc. frekwencji. Jednak do końca ponad siedmiogodzinnej sesji dotrwało o pustych żołądkach tylko 58 z 68 delegatów. Biorąc pod uwagę wstępne, dwugodzinne „galopy klubowe” była to zaiste końska dawka, na granicy wytrzymałości nowo kreowanego ciała.

Obrady zdominowały sprawy proceduralne i personalne. Przewodniczącym sejmiku wybrany został **JERZY OPĘCHOWSKI** (l. 62, inż. rolnik z Zielonej Góry, desygnowany — po wygraniu rywalizacji z dwoma kontrkandydatami — przez Obywatelski Klub Delegatów). Funkcje jego zastępców powierzono **ALI CJI NOWAKOWSKIEJ** z Lubka i **JÓZEFOWI MICHAŁSKIEMU** ze Świebodzina. Czy przyjdzie im współdziałać już z nowym wojewodą? Obecny, **ZBYSZKO PIWOŃSKI** nie uzyskał bowiem wotum za ufania (9 głosów za, 38 przeciw, 9 wstrzymujących się). W tej sytuacji

upoważniono prezydium do wystąpienia z wnioskiem do premiera o dokonanie zmiany na owym stanowisku.

Nie — dla wojewody, ale i nie — dla rządu. Sejmik zaopiniował negatywnie projekt utworzenia w Zielonogórskim sześciu rejonów (Zielona Góra, Nowa Sól, Krosno, Żary, Świebodzin, Wolsztyn), postulując zwiększenie ich liczby do siedmiu (Żagań). Nie udało się natomiast uzyskać poparcia dla swych rejonowych ambicji delegatów z Lubka i Gubina. Jest to wspaniała odpowiedź na demagogiczne stwierdzenie: „nowa nomenklatura robi, co chce”. Tak, ale kieruje się przy tym racjonalnymi względami. Dawna, prawdziwa nomenklatura postępowała zgola inaczej.

Odnotujmy także pierwszy wniosek, zgłoszony tuż po wyborze Jerzego Opęchowskiego: „otwórzcie okna, brak tu świeżego powietrza”. W sali kolumnowej UW zabrzmiał on dość dwuznacznie. I słusznie.

EJM



Musi odejść?

Fot. Cz. Luniewicz

Tak trzymać!

Tęgo jeszcze kroniki miasta nie notowały. W niespełna trzy godziny po wyborze, tuż po zakończeniu sesji Rady Miejskiej, pokrzepiwszy się — zamiast obiadem — filiżanką kawy, nowy prezydent Zielonej Góry **ROMAN DOGANOWSKI** zameldował się w radiowym studiu na pierwszym spotkaniu z mieszkańcami.

Telefony nie milkły. Były oczywiście kurtuazyjne życzenia, były ogólne uwagi i refleksje, dotyczące rozwoju miasta, ale były też bardzo konkretne sprawy „do załatwienia”: handel uliczny, garaże, dyskoteka dla młodzieży, nie świecące latarnie, krzew akcji zasłaniający kierowcom widok. Wszystkie zostały skrzętnie zapisane w przyręcznym notesie.

Czy mieliśmy do czynienia z jednorazowym ukłonem w stronę zielonogórzan, spektakularnym gestem powyboreczym? Z ust wódcy miasta usłyszeliśmy wyraźnie, że nie. Że w ten sposób zapoczątkowana zostaje w Zielonej Górze nowa, dobra tradycja. Podobna w tonie deklaracja złożona również została podczas obrad Rady i na łamach „Gazety Nowej”.

Tak trzymać, panie prezydencie. Zgadza się z panem w pełni, że jest to w gruncie rzeczy najważniejsze zadanie, stojące obecnie przed nowymi władzami. I to nie tylko w Zielonej Górze.

Powiedzmy sobie szczerze: do konania w samorządnych gminach w krótkim okresie czasu radykalnych, widocznych na pierwszy rzut oka zmian, graniczyliby z cudem. Z dnia na dzień nie poprawi się na przykład stan ulic, nie rozwiąże problemów mieszkaniowych, nie zapewni dobrej jakościowo wody czy odpowiedniej ilości ciepła. Jest natomiast możliwe — absolutnie konieczne — zatarcie ostro zarysowanej granicy między rządzącymi i rządzonymi. Mieszkańcy muszą dokładnie wiedzieć, co się właściwie w tym mieście dzieje i dlaczego dzieje się tak, a nie inaczej. Muszą mieć możliwość wyrażania swych opinii przed podjęciem wszelkich istotnych dla rozwoju Zielonej Góry decyzji oraz krytykowania błędnych postępowania.

Władze miejskie (Rada, prezydent, zarząd, wreszcie urząd) pracować powinny „przy otwartej kurtynie”. Nawet swoim na leży patrzeć na ręce. Program wyborczy Komitetu Obywatelskiego „S” pozostaje stale aktualny.

Warto wykorzystywać w tym celu zarówno rozgłośnię radio-wo jak i zawsze gościnne dla spraw obywatelskich łamy „Gazety Nowej”.

KB

U NAS

Przy ulicy Drzewnej w Zielonej Górze otwarto tzw. placówkę charytatywną — sklep, w którym ludzie ubodzy zaopatrzyć się będą mogli w odzież. Powstał on dzięki inicjatywie MKM „Solidarność”.